

Prenumerata w Warszawie

Rocznie . . . Rs. 7 kop. —
Półrocznie „ 3 „ 50
Kwartalnie „ 1 „ 75
Miesięcznie „ — „ 60

Za zmianę adresu dopłaca się kop. 20.

Cena pojedynczego numeru bez dodatku kop. 20.

GŁOS

Prenumerata na Prowincję i zagranicą:

Rocznie . . . Rs. 9 kop. —
Półrocznie „ 4 „ 50
Kwartalnie „ 2 „ 25

Drobnych rękopisów redakcyja nie zwraca.

Ogłoszenia przyjmuje księgarnia T. Paprockiego i S-ki oraz Warszawskie biuro ogłoszeń (Wierzbowa Nr 8 po k. 10 za wiersz petitem lub za jego miejsce. Reklamy po kop. 20.

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCJA: Smolna (Wysoka) Nr. 24.

Ekspedycya główna: Nowy-Świat Nr. 41, w księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden zeszyt dzieł naukowych.

T R E Ś C:

- Produkcya i wywóz zboża, przez *J. N.*
Żydzi w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przez *E. Kańskiego.*
Początki niewolnictw w koloniach, przez *Edwarda Przewońskiego.*
Medium w osobie E. Palladino, przez *Dr. J. Harusewicz.*
Postępy bakterjologii, przez *Dr. J. Żurakowskiego.*
Rachunki krytyczne, przez *W. Jabłonowskiego.*
Bez obludy, przez *Maryana Bohusza.*
Głosy: Szkoły w Warszawie. — Nowa szlachta. — Mali koncertanci. — Nadużycia. — Dokładność informacyi. Z teatru.
Z kraju, przez *J. Nieborskiego.*
Przegląd społeczny. Dobrzyń nad Wisłą. Petersburg. Kraków. Lwów.
Przegląd polityczny.
Kronika powszechna.
Ogłoszenia.
Odcinek. Handelek, Powieć, przez *Teod. Tom. Jęsa*

Produkcya i wywóz zboża.

Zawarcie traktatu handlowego między Niemcami i Rosją uważać można w danej chwili za dosyć prawdopodobne. Powrót do stosunków poprzednich pozwoliłby uregulować handel zbożowy w granicach wywozu normalnego. Jak wiadomo bowiem, z Królestwa niemal wyłącznie wywożono zboże do Prus. W ostatnim numerze *Gazety rolniczej* znajdujemy ciekawe dane, dotyczące wywozu i produkcji zboża w Królestwie, wzięte ze sprawozdania wydziału statystycznego ministerjum komunikacyj za rok 1889. Sprawozdanie to, bardzo szczegółowo opracowane, przygotowano na wystawę powszechną w Chicago. Cyfry, które przytoczymy niżej, dają materiał do wielu ciekawych wniosków i zestawień.

Zbiór 4 głównych gatunków zboża, nielicząc ziarna, pozostawionego na zasiew, wynosił w r. 1889 w okrągłych cyfrach.

Królestwo:	Pszenica.	15,900,000	pudów.
„	Żyto.	49,700,000	„
„	Owies.	21,500,000	„
„	Jęczmień.	11,100,000	„
Ogółem.		98,200,000	pudów.

W r. 1889 było w Król. na przestrzeni 2,312 mil kw. 7,960,394 miesz. Ponieważ owies rzadko bywa na pożywienie używany, w Królestwie więc na głowę ludności wypada zaledwie 11 pudów pszenicy żyta i jęczmienia. Rzecz jasna, że grochu, tatkarki i prosa nie ma tyle, ażeby brak do normy

uzupełnić. Brak ten pokrywają kartofle, w znacznej stosunkowo ilości produkowane i spożywane. A jednak pomimo to, że produkcya głównych gatunków zboża nie wystarcza, lub w najlepszym razie zaledwie wystarcza na potrzeby ludności, wywóz zboża za granicę z gubernii Królestwa jest dosyć znaczny.

W roku 1889 wywieziono: pszenicy (ziarna i mąki) 3,900,000 pud., żyta: (ziarna i mąki) 900,000 pud., owsa 300,000 pud., jęczmienia 1,900,000 pud. Ogółem: 7,000,000 pud.

Zaznaczyliśmy już, że cały niemal wywóz z Królestwa idzie do Prus, bo z 7 milionów pudów tylko 100,000 pudów owsa i około 200,000 pudów jęczmienia wywieziono do Austrii. Ale zboże z portów bałtyckich w pewnej części także przeznaczone jest dla Niemiec

Jak widzimy z poprzednich danych, jeżeli Królestwo ma dosyć poważny udział w handlu zbożowym z Niemcami, to tylko wskutek swego położenia geograficznego, produkcya bowiem miejscowa zaledwie wystarcza na potrzeby ludności. Zboże wychodzi do Niemiec głównie z gubernij pogranicznych, o czem przekonywa najlepiej klasyfikacya wywozu według rodzajów transportu.

Z 7 milionów pudów przewieziono za granicę Wisłą 1 milion pudów, kołmi 3 miliony i tyleż kolejami.

Wiadomo powszechnie, że do Królestwa przychodzi dużo zboża z gubernii zachodnich, a więcej jeszcze z gubernij wewnętrznych. Sprawozdanie urzędowe nie zawiera zupełnie dokładnych danych w tym przedmiocie, podaje jednak cyfry dowozu zboża do Warszawy, które poniekąd informują o ogólnej ilości dowozu.

W 1889 r. Warszawa otrzymała.

Z gub. półn. zachod.	1,100,000	pudów
Z gub. połud.-zachod.	500,000	„
Z innych gub. Rosyi.	3,200,00	„

Prawie połowę tego dowozu (2,200,000 pudów) stanowi owies, sprowadzany głównie dla potrzeb konsystującego w Królestwie wojska

Rzecz jasna, że i do innych miejscowości, oprócz Warszawy, dowóz istnieje, ogólna jego suma pokrywa, a prawdopodobnie nawet przewyższa dowóz, co dowodzi, że Królestwo jest już lub wkrótce będzie krajem, sprowadzającym zboże z innych miejscowości.

W każdym razie wskutek dowozu zboża i znacznej ilości kartofli, ludność Królestwa posiada ilość zboża mniej więcej wystarczającą dla jej żywienia. W Królestwie więc powtarza się fakt, który prasa ruska zaznaczyła odnośnie do całego państwa. W latach, zwanych niesłusznie normalnymi, wywóz zboża za granicę jest nadmierny, ponieważ na żywienie ludności miejscowej nie pozostaje w granicach państwa dostatecznej

ilości zboża. Fakt ten zaznaczyliśmy już przed kilku miesiącami w jednym z artykułów, traktujących o skutkach walki celnej...

Bo chociaż nadmierny wywóz zboża nie jest wynikiem lekkomyślności, ale koniecznej potrzeby, dla ogromnej masy ludności niskie ceny jego są pożądane. Nie mówiąc o ludności miejskiej, zaznaczyć trzeba, że znaczny procent ludności wiejskiej, rolniczej, albo wcale własnego zboża nie posiada, albo dokupywać go musi. Wielu również włościan produkuje zaledwie tyle zboża, ile im na potrzeby skromne wystarcza. Twierdzili dawniej ekonomiści i dzisiaj czasem twierdzą, że ceny pracy są wprost zależne od cen zboża, ale u nas zależności tej dopatrzeć trudno, a i za granicą występuje ona nie zawsze i zauważyć się daje tylko w dłuższych odstępach czasu.

Przytoczone powyżej dane nasuwają jedną jeszcze uwagę. Ponieważ Królestwo w najlepszym razie produkuje tyle tylko zboża, ile miejscowe rynki potrzebują, ceny zależą u nas w znacznej mierze od urodzaju w Cesarstwie i od ułatwień transportowych. W razie nieurodzaju w Cesarstwie, gdyby nawet zagranica nie wiele zboża potrzebowała, a urodzaj w Królestwie był świetny, ceny stałyby na wysokim poziomie. Taryfy kolejowe, ułatwiające dowóz mają, jak łatwo zrozumieć, w warunkach normalnych, bardzo wielki wpływ na ceny zboża na rynkach miejscowych.

J. N.

Żydzi w Stanach Zjednoczonych

AMERYKI PÓLNOOCNEJ.

III.

W rozdziale poprzednim widzieliśmy, jak pracownicy żydowscy w Nowym-Yorku, dzięki głównie oddziaływaniu na nich bardziej uświadomionych i dobrze zorganizowanych stowarzyszeń profesjonalnych amerykańskich, dość mocno się opierali wpływowi warunków, utrudniających nadzwyczaj zarobkowanie i jakimi środkami starali się uzyskać od przedsiębiorców polepszenie tych warunków.

Bezpośrednio zatem zjawia się pytanie: czy przedsiębiorcami tymi są Jankesi lub innej narodowości przedstawiciele, czy też tak samo żydzi? Mówiliśmy poprzednio, że emigranci żydowscy składają się przeważnie z ludzi niezamożnych albo zupełnie biednych, czyli że bądź co bądź pewien odsetek ludzi zamożnych, a nawet bogatych wśród emigracyi żydowskiej napotkać można, ściśle jednak ilości ich określić niepodobna. Faktem jest tylko, że żyd-emigrant

posiadający jaki taki kapitalik, po rozejrzeniu się w tamtejszych warunkach, o ile posiada wrodzony spryt do operacji handlowo-przemysłowych, nadszybczyj prędko oswaja się z istotą *business'u* i łatwo pomnaża pierwotne swoje zasoby, dzięki szczególnie masom tanich rąk roboczych wśród własnych współbraci.

To też, jak twierdzi p. F. L.—n, na pracy którego się opieramy, z pomiędzy dużych firm w New-Yorku część znacznie większa należy już obecnie do żydów; z 1,200 składów hurtowych przeszło 1,000 znajduje się w rękach żydowskich, a niektóre gałęzie handlu i przemysłu, jak np. galanteria i krawiectwo całkowicie zostały przez nich opanowane. Oto spis firm żydowskich wraz z kapitałami podług statystyka Richard'a Wheatley'a.

Wyroby galanteryjne, firm 514, kapitału 58,000,000 dol., krawiectwo firm 264, kapitału 24,000,000 dol., magazyny ubiorów firm 31 kapitału 7,000,000 dol., czapnictwo firm 169, kapitału 12,000,000 dol.; fabryki tytoniu i cygar firm 165 kapitału 15,000,000 dol., handel win firm 94 kapitału 10,000,000 dol., jubilerzy i optycy firm 133 kapitału 8,500,000 dol., handel wyrobów szklanych firm 38, kapitału 6,000,000 dol., handel wyrobów skórzanymi firm 83 kapitału 7,000,000 dol., handel wyrobów meblowych firm 37 kapitału 2,750,000,000 dol., handel mięsem firm 74 kapitału 5,000,000 dol., inne gałęzie produkcji firm 416 kapitału 37,500,000 dol., ogółem firm 2,018 kapitału 192,750,000 dol.

Nadto istnieje jeszcze domów bankierskich 35 z kapitałem 13 milionów dolarów, a majątek ich ogólny oceniają na 100 mil. dolarów. Cały zaś majątek ogółu żydów w samych nieruchomościach obliczają na 200 mil. dol.

Jak widzimy więc, część żydów nowojorskich dosięgła znacznego stopnia zamożności, czego dowodzi choćby przeciętna cyfra kapitału, przypadającego na jedną firmę (przeszło 95 tysięcy dol.), lecz to dopiero jedna strona ich życia — materialna; zechcemy zobaczyć i drugą — duchową, a ujrzymy tam nicosć mało pochlebną dla tego plemienia. Sprawy religijne w zupełności ją wypełniają, nie pozostawiając już wcale miejsca na literaturę, sztuki piękne i t. d. Zupełnie coś odmiennego niż w krajach Europy zachodniej, gdzie żydzi w części lub całkiem się zasymilowali, przysporzyli światu znaczny zastęp ludzi znanych w różnych gałęziach nauki i sztuki. W Ameryce nic podobnego nie widzimy: tam

nawet żyd, od 200 lat zamieszkały, nie różni się o wiele od świeżego przybysza z oceanu, i oprócz geszefu, a raczej businessu oraz kwestyj religijnych, które po za tem całkowicie go pochłaniają, o niczem innem słyszeć nie chce.

Największą troską żydów zamożniejszych są synagogi. Jeszcze w wieku XVIII żydów w Ameryce północnej było tak mało, że synagog nie posiadali, zadawalnając się tylko organizowaniem gmin, czyli po angielsku „congregations”, albo po prostu „chewres”. Lecz po wywalczeniu od rządów kolonialnych prawa swobodnego odprawiania nabożeństw publicznych, zaczęli w różnych okolicach na gwałt budować synagogi, kosztów przytem nie szczędząc na bogate ich zaopatrzenie, jakby w nich widzieli alfę i omegę swego na ziemi bytowania.

Jak gorąco tę sprawę popierali (i do chwili ostatniej nie ostrygają w tych usiłowaniach), zobaczymy najlepiej z cyfr poniższych, podanych według lustracji urzędowych. Podczas gdy w r. 1854, t. j. w 91 lat po wybudowaniu pierwszej synagogi na Rhode-Island, wszystkich gmin liczone 97, a z tego 30 w samym New-Yorku, to już w r. 1880 liczba ta dosięga 270, 270, majątek ich w nieruchomościach wynosił 4,706,700 dol., ogólny zaś 6,204,578 dol. W r. 1891 znajdujemy już 533 gminy, posiadające na własność 301 gmachów i 221 sal, ogólna przytem wartość majątku synagog stanowiła 9,754, 275 dolarów. Jeden tylko New-York posiada obecnie 250 synagog i bóżnic, ocenionych na 4,000,000 dol., nie licząc niepojętego dla nas mnóstwa pomniejszych „domów modlitwy”, których w niewielkim nawet domu można znaleźć po 6 i więcej. Ale te ostatnie oczywiście klientelę swoją rekrutują wśród najuboższych.

Różnolitość, jaką przedstawiają emigranci żydowscy, przybysze z rozmaitych krajów z odmiennymi zwyczajami, oraz wpływ amerykańskich, skłonnych jak wiadomo do rozbijania się na niezliczone rodzaje sekt religijnych, wytworzyły i w żydach amerykańskich nadzwyczajny popęd do sekciarstwa. Mamy więc gminy hiszpańskie i portugalskie, mamy też i niemieckie, węgierskie, ruskie i polskie, z rytuałem w pewnych szczegółach dosyć nawet różnym. Niezależnie od tego podziału narodowościowego, żydzi tamtejsi dzielą się jeszcze na ortodoksów, konserwatywnych i reformistów. Pierwsi z nich utrzymują w wielkiej czci wszelkie zwyczaje i tradycje przeszłości, pozostawiając ca-

ły rytuał w tej samej formie, jaką posiadał tysiące lat temu. Należą do tego odłamu przezwannie najubożsi z pośród żydów, tem nie mniej w ich posiadaniu znajduje się pewna ilość synagog w ładniejszych częściach miasta, które swym bogactwem w podziw mogą wprowadzić.

Konserwatyści trzymają środek pomiędzy ortodoksami i reformistami, a tem się tylko różnią od pierwszych, że tolerują do pewnego stopnia język angielski przy nabożeństwie i w obrządkach wprowadzają pewne nieznaczne zmiany. Reformiści za to bardziej zasługują na uwagę. Na ogół biorąc, możnaby ich przyrównać do naszych żydów postępowych, lecz w szczegółach różnią się wielce, o ile pod pewnym względem wyprzedzają ich znacznie, o tyle znów pod innymi względami stoją za nimi w tyle.

Większość reformistów zadawala się w rytuale wprowadzeniem zmian zewnętrznych, nie sięgających głębiej, nie naruszających podstaw religijnych Mojżeszowego wyznania. Zwyczaje jednak zmienili bardzo łatwo i prawie powszechnie. np. niema w ich synagogach już tego rozdziału kobiet od mężczyzn, obie płcie siedzą tam w specjalnie przysposobionych łóżkach familijnych. Ubiór też jak u przeciętnego amerykańczaka; w synagogach mężczyźni stoją z głową odkrytą. Śpiewy wykonywane są z wielką precyzją i gwoli temu w chórach znaleźć można i wielu chrześcijan. I synagoga też u reformistów przyjęła szczególną cechę: tuż obok albo nawet w tej samej sali możemy spotkać biblioteki, sale koncertowe lub do gimnastyki i inne urządzenia, z religią nie mające ścisłego związku.

Każda wreszcie synagoga reformistów ma postać odmienną, bo ile gmin tyle różnych rytuałów, nauk, pojęć i zwyczajów, tak że wyszukanie jakichś cech wspólnych jest rzeczą bardzo trudną. Są gminy, mało różniące się od konserwatywistów, a są i takie, które odmawiają Talmudowi zupełnie wartości i znaczenia, na wzór naszych frankistów. Między temi ostatnimi najbardziej zasługuje na uwagę gmina w Circinatti, której naczelnikiem jest dr. Wise. Ich doktryna religijna prawie niczem się nie różni od jakiegoś wyznania ewangelickiego z zakrojem racjonalistycznym, a już z religią Mojżesza bardzo niewiele ma wspólnego, chyba tylko 10 przykazań, które według nich mają posiadać wartość i moc wieczystą.

Małżeństwo u reformistów nie posiada wcale

HANDELEK

POWIEŚĆ

przez

Teod. Tom. Jeża.

Dalszy ciąg.

Amatorowie, luboć łakomi, o tyle jednak byli rozważni i praktyczni, że nie ryzykowali się na kupowanie kota w worku. Zresztą, nikt po nich tego nie wymagał. Wieść krążąca miała znaczenie anonsu, zastępując ogłoszenia, które zapełniają obecnie czwarte stronicie dzienników, mury miast, umyślnie na ten koniec stawiane budowle, wnętrza wagonów, skały w zwiedzanych przez turystów miejscowościach, wieże świątyń, nawet (najnowszy wynalazek)—obłoki. Reklama w owych czasach sposobów tych nie znała jeszcze. Zastępowały ją z ręcznie puszczone pogłoski, które, krążąc, towar zalecały. Tą drogą do wiadomości interesowanych dochodziły zalecenia rozlicznych artykułów i zapewniały odbyty, wzbudzając ciekawość i pożądanie. Ileż to popomada, ileż kropel cudownych, leków, tkanin, wyrobów galanteryjnych, etc., etc., rozeszło się, dzięki podawanym z ust do ust wieściom! Ileż to fortun zawdzięczają swoje pochodzenie szeptanym pogłoskom!

Pogłoska, tycząca się Joasi, nie inne miała znaczenie.

Reklama co do niej krążyła po Moldawii i sprawiała amatorom oskome.

— Ano... zobaczymy...—powtarzano.

We względzie „zobaczenia“ wątpliwość nie zachodziła. Handel, na czele którego stał starosta botuszański, nie był zgoła tajemnicą, a—osłonięty sztandarem mocarstwa poważnego — wzbudzał zaufanie. Obok tego, liczne były dowody, na których się zaufanie opierało. Kto dostarczał kochanek gospodarowi? Że przeto artykuł będzie do oglądania, tego pewnymi byli wszyscy interesowani. Któs powiadał, że słyszał o tem z ust samej pani Kropilskiej. Nie wiadomo było, kim był ów ktoś: może hetman, może wielki logofet — albo wielki wornik; powiadano, zapewniano, wyznaczano nawet termin na wiosnę.

Joasia ani się domyślała, że osoba jej jest przedmiotem reklamy szeroko rozwiniętej. Śmierć hrabiny wrzuciła ją — jak zwykle wszystkich wrzuciła śmierć osobistości, którą się zbliża miała i często z nią obcowało. Obcowanie z nieboszczką stało się było dla niej rzeczą zwyczajną, powszechną, codzienną—wydawało się jej, że nie może być inaczej. Nagle się to urwało. Dziewczynę przejął żal szczery i szczeremi były łzy, które zgon hrabiny opłakała. Zgon ten jednak sprowadził jej pociechę: zwłokę w zamiarach, tyczących się poślubienia Ferdzia, do czego czuła wstręt niepowściągnięty. Nie wiedziała, jak

wstrętowi temu uczynić zadość. Trapiło ją to—i oto nastąpiła zwłoka. Miasto przeto żalu, powiedziała sobie:

„Chwała Bogu“..

Rozmyślała nad tym dziwnym zbiegiem okoliczności, nad tem osobliwym losu rządzeniem.

W rozmyślanii urabia się dojrzałość, tworzą się plany i programy, które zależą od wszczepionego w duszę punktu wychodniego. Stosownie do tego ostatniego rozwinąć się musiało dojrzewanie Joasi. Zwłokę wzięła za opiekowanie się nią losu, szykującego dla niej dolę świątyni, która nagle przecie spaść nie może.

„Przejdzie zima—myślała—nadejdzie wiosna“..

Na wiosnę przewidywała zmianę jakąś nadzwyczajną, jakiś rodzaj otworzenia się niebios i tryumfalnego wnijscia swego do pałaców zaczarowanych, stokroć piękniejszych i stokroć bogatszych, aniżeli pałac zielonołucki. Wydawało się jej to tem pewniejszym, że matka przestała o młodym hrabi mówić.

Pani Grabelska przestała o młodym hrabi mówić—wiadomo dla czego.

Dla Joasi było to tajemnicą.

Stary hrabia—co dawniej nie było w jego zwyczaju—zaglądał niekiedy na mandataryę. Przychodził, posiedział trochę, powiedział do wicipów parę i odchodził.

Parę razy pani Grabelska w pałacu po parę godzin spędziła.

tego nimbu świętości, jaką się cieszy wśród innych żydów, lecz za to u nich, ludzi przeważnie bogatych, obrządek ten z nadzwyczajnym przepychem bywa obchodzony.

Rozwód, traktowany przez żydów jako obrządek religijny, w Ameryce, dzięki prawom obowiązującym, stracił pierwotnie swoje znaczenie, prawo bowiem uznaje tylko te rozwody, które zatwierdzone zostały przez sąd. Z tego powodu wyrażają się sytuacje dość ciekawe i bywały naprz. wypadki, że pociągano do odpowiedzialności za dwoje osoby, które się rozwiódły na zasadzie obrządku religijnego i zawarły związki małżeńskie powtórnie. Ortodoksi w odwet uważają rozwód cywilny za niedostateczny i dopełniają go religijnym. Najwięcej rozwodów zachodzi wśród żydów polskich i ruskich.

Po za religiją, jak rzekliśmy, żydzi, nawet najzamoźniejsi, niczem się nie interesują. Odbija się to szczególnie na stanie oświaty wśród mas żydowskich, która dzięki ich odseparowaniu od innych grup plemiennych Ameryki nie wiele co wyżej się posunęła, jak w krajach, skąd przybyli.

Mamy więc tam mnóstwo chederów, gdzie ciemni melamedzi za pomocą tradycyjnych batozków w młode pokolenia wpajają zasady mądrości przedwiecznej, pomijając rzeczy nowsze, bardziej żywotne i ciekawsze, a mniej ogłupiające. Szkółek takich w Nowym Jorku doliczyć się trudno, państwo w takie sprawy nie wtrąca się wcale. Można więc tylko dokładniejsze wiadomości podać o innych szkołkach elementarnych, ufundowanych przez różne osoby dobroczynne, te szkoły jednak co do swej wartości nie o wiele wyżej stoją od chederów, i aczkolwiek niektóre z nich posiadają po 5 klas, po za naukę czytania i pisania nie wykraczają. W jednej z nich liczono niedawno 479 dziewczynek i 376 chłopców, w innej — „Down-Town Sabbath and Daily School” liczba samych dziewcząt dochodzi do 1300.

Nie brak też i sławnych *Talmud-Torah*, to jest szkół, mających uchodzić za „akademie”, z kursem czteroletnim, w których starzy talmudyści, z pejsami starannie splecionymi, zaciekają się nad tajemnicami „księgi świętej”, jak gdyby po za nią już nie więcej nie istniało i martwą tę starzyzną przelewają w głowy swych uczniów; „akademie” te liczą uczniów więcej jeszcze od poprzednich, taka naprz. „*Machzikay Talmud Torah*” ma aż 1400 uczą-

cych się, przeważnie z pośród żydów „słowiańskich”, resp. ruskich.

W styczniu 1887 r. celem kształcenia rabinów założono wyższą szkołę — „żydowskie seminaryum duchowne”, które posiada 4 profesorów d-ra Marais, Silbermana, Drachmana i Kohusta, ale z tem wszystkim nie zasługuje na nazwę postępowego, — a słuchaczy posiada zaledwie 30.

Wszystkie te szkoły zatem są tylko istną zaporą i czynnikiem wysoce wstępnym: bowiem nie dają żadnych wiadomości praktycznych, nie uczą znajomości języka miejscowego, co mogłoby żydów zbliżyć do poziomu otoczenia, ale świadomie zacieśniają ich widnokręgi i utrwalają separatyzm żydowski, tak wstrętny dla nas, a tymbardziej dla Amerykanów, dla których musi się wydawać czemś iście potwornym.

Cóż robią żydzi zamożni, aby fatalne to położenie zmienić? Czy znać jakie usiłowania z ich strony, aby swych współwyznawców z tych pięć obskuratyzmu wyzwolić i uczynić ich zdolnymi do przyjęcia wyższej cywilizacji. Absolutnie nie.

O ile coś w tym kierunku się robi, zawdzięczać to należy tym żywiołom inteligentnym, o których wspomnieliśmy w numerze poprzednim, ale, jak wiadomo, są one środków literalnie pozbawione, to też rezultaty te są bardzo nikłe. Pomimo to jednak literatura peryodyczna dosyć jest rozwinięta, ale to zawdzięczać już należy tamtejszym warunkom, w których, aby gazetę wydawać, potrzeba nakładu bardzo niewielkiego. Jakaś maleńka izdebka przy drukarni wystarcza w zupełności na redakcję; współpracownicy zasilają gazetę bezinteresownie; przytem łatwo się można wystarać o subsydyum ze strony jakiejś partii politycznej, zwłaszcza przed wyborami. Dzięki też głównie temu w samym New-Yorku istnieje czasopismo żydowskie więcej, niż w całej Europie. Lecz z małymi wyjątkami strawa dla umysłu w nich podawana jest nad wyraz nędzna, głównie dla braku odpowiednich sił dziennikarskich. Na pierwszym planie stoi sensacja, przygotowana w dozach olbrzymich i w formie, o jakiej najgorsze świstki europejskie słabe zaledwie dać mogą wyobrażenie. Oprócz czasopism istnieje literatura „belletrystyczna”, wydawana zeszytami co tydzień, wartość jej taka sama, jak poprzedniej. Parę lat temu kółko młodzieży inteligentnej usiłowało zaznajomić żydów z utworami prawdziwej wartości w tłumaczeniach na żargon, lecz w braku poparcia sfer zamożnych szlachet-

ne te usiłowania musiały się w niwecz obrócić.

Jeszcze jedno źródło oświaty mogłoby nieźły wpływ wywierać, gdyby było eksploatowane przez ludzi światłych i uczciwych. Mówimy tu o teatrze, który jednak, niestety, karmi publiczność żydowską niskiej wartości farsami i operetkami, bez śladu jakichś idealniejszych dążeń. Teatrów żydowskich w Nowym Jorku liczą do trzech: *Oriental Theatre*, *Talia* i jeszcze jakiś w najuboższej dzielnicy. Wszystkie one powodzeniem cieszą się nadzwyczajnie. Wszyscy, co znają przytem teatr żydowski w Rosji, przyznają temu ostatniemu bądź co bądź jakąś wartość, w każdej sztuce znaleźć można przynajmniej sens jakiś, jaką myśl pożyteczną, — w teatrach nowojorskich byłoby daremnie szukać czegoś podobnego.

Jakże więc w takich warunkach można myśleć o tem, aby z przybyszów żydowskich, ciemnych, fanatycznie przywiązanych do strupieszalej tradycji, w krótkim czasie wytworzyć obywateli kraju, świadomych celów istotnych życia, skoro po przybyciu do Nowego Świata wpadają oni w środowisko nie o wiele różnie od tego, w jakim dotychczas przebywali? Jak może człowiek, który całe życie głodem przymierzał, niedostatek pożywienia wypełniał uczeniem się na pamięć Talmudu, począwszy od 4 roku życia, jak człowiek taki może okazać skłonności do wydobycia się z tego bagniska umysłowego? Wszelkie trudy, w tym kierunku podejmowane, będą przez długi czas jeszcze daremnymi, dopóki... warunki ekonomiczne i system wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych nie ulegną bardziej radykalnym zmianom. Istotnie, przy obecnym systemie wychowawczym, opartym wyłącznie niemal na uprawie strony technicznej z zaniedbaniem wykształcenia filozoficznego, ogólnie kształcącego, zmiany rychłej na lepsze odnośnie do żydów oczekiwać nie można. Amerykanie bowiem współcześni, wykształceni przeważnie w kierunku czysto praktycznym, nie mogą wywierać takiego na żydów wpływu, jakiego pożądać by należało. W ostatnich czasach rozpoczęto usiłowania celem podniesienia poziomu wykształcenia w wyższych zakładach naukowych, i jeżeli wytworzy się liczna rzesza wykształconej inteligencji, która potrafi nadać życiu kierunek bardziej idealny, wtedy dopiero spodziewać się będzie można, że i wśród żydów mroki obskurantyzmu rozpraszają się zaczęta, że świeższe technienia zawieją wśród tych mas zacofanych i życie nowe w nie wstąpi.

Nie zwracało to na siebie uwagi Joasi. Chodzenie matki do pałacu przypisywała in-teresom; odwiedziny zaś hrabiego temu, że się nudzi z synem, o którym się odzywał z przekąsem i lekceważeniem.

— Mój syn, mimo że młody, nie wart mnie starego... prawda, Joasiu?... — zapytał raz pewnego.

— Nie wiem... — odparła.

— Jak się tobie zdaje?...

— Cóż mi się zdawać może!...

— Gdyby postawiono przed tobą jego i mnie: którego byś z nas wybrała?...

— Czyż to możliwe?... — odrzekła z akcentem pewnego niepokoju w głosie.

— Czemu nie możliwe!... Nie tylko możliwe, ale ci powiem, iż byś nie wybrała mego syna...

— Nie wiem... — szepnęła zmieszana.

Ta zamiana żartobliwych niby frazesów do myślenia jej dała. Gdyby w rzeczy samej wybierać pomiędzy dwoma hrabiami musiała, — którego by wybrała? Nieprędko tę zagadkę rozwiązała. Po długim, długim wahanii się, po zestawieniu najrozlicniejszych za i przeciw, rozwiązała ją na korzyść hrabiego młodego.

„Ferdzia bym zawsze bądź co bądź wolała“.

Powodowała nią litość. Serce niewieście jest składnikiem miłosierdzia, któremu się częstokroć uwlekać dają najbezwzględniejsze kosietki, najwyuzdańsze hetery. Z miłosierdzia

też Joasia uczyniła wybór pomiędzy młodym człowiekiem, dotkniętym kalectwem, za które nie odpowiadał, a starym bezecnikiem, który na sumieniu swoim dźwigał odpowiedzialność bez miary za siebie i za innych. Wybór ten atoli odnosił się do warunku przymusu, którego Joasia nie przypuszczała.

„Kto mnie przymusi?...“ — myślała.

Przymusić jej nie mógł kto inny, jeno rodzice. Wobec tej myśli robiło się jej trochę straszno; szukała przeciwko niej obrony i znajdowała takową w rzeczach okropnych i w rzeczach mniej okropnych: w samobójstwie, w ucieczce z domu rodzicielskiego, w Józiu, wreszcie w tem czemś nieokreślonym, na które czekała, którego wyglądała i które się jej w perspektywie ukazywało pod skrzydłem pani Kropilskiej.

„Napiszę do niej... Nie chcę ja, nie chcę, nie chcę hrabiego ani młodego, ani starego!...“

Zima nadeszła zawieista, mroźna, która się szczególnie rozszalała we wigilię Nowego Roku. Wicher huczał, jęczał, zdawało się jakby miał intencję z posad bryłę świata zdmuchnąć. W t kę pogodę ludzie domów pilnują; kto ma czem w piecu palić, pali i grzeje się, czekając na zmianę atmosferyczną, pozwalającą wyrzucić na świat boży. W domku mandataryuszostwa, dzięki obfitości drzewa, w które ich dominium hojnie zaopatrywało, ciepłutko było, jak w uchu. Wieczorem Joasia siedziała z robótką jakąś w ręku przy świecy i w zadumaniu wsłuchiwała się w muzykę

wichrów, grającą pełną orkiestrą. Nieopodal od niej miejsce zajmowała matka. Ojciec po wieczery kurzył powoli fajkę na cybuchu czereszniowym.

— O dmucha!... — odezwał się. Sylwester nie łaskaw w tym roku...

— Ta... — odparła pani. Nas on żegna w tym roku...

— No?... — zapytał mandataryusz.

— Żegna w tej chałupie...

— A... — odparł tonem, oznaczającym, że domyślił się sensu słów żony.

Domyśliła się Joasia i powtórzyła sobie w duszy raz przynajmniej setny.

„Nie chcę... nie chcę... nie chcę...“

Z postanowieniem tem do łóżka poszła i przerabiała je w myśli wedle tej formuły, co się układała w kształcie gamy, idącej od tonów okropnych, do mniej okropnych i rozkosznych. Marząc o rozkoszach, zasnęła. Obudził ją nazajutrz gwar w pierwszej izbie. Istotę gwaru od razu poznała: pochodził on od posiewalników, którzy przyszli do „mandara“ z życzeniem na Nowy Rok. Zdziwiła się, że jej matka wcześniej nie obudziła.

Zdziwiła się jeszcze mocniej, gdy, do odzieży sięgnawszy, zamiast tej, jaką sobie z wieczora przygotowała, znalazła zupełnie inną: koszula batystowa, pończochy cienutkie, pantofelki wyszywane, szlafroczek elegancki, a dalej suknia ciężka jedwabna, takąż pelerynka, pasek, klamerki, wstążki, kokardy, wreszcie

Lecz nadejście tej chwili opóźniają coraz to nowe zastępy emigrantów, rekrutowane z pośród najmniej oświeconych klas ludności, nie mające nawet pojęcia o konstytucji Unii, nie znające języka angielskiego, o nader niskim poziomie wymagań życiowych; te to zastępy są ciągłą troską dalej patrzących ludzi z pośród Amerykanów, nie też dziwnego, że jednym ze środków, mających uratować od szkodliwych skutków tego najazdu, będzie stanowczy nakaz niedopuszczania więcej emigrantów na ląd amerykański.

E. Kański.

Początki niewolnictwa w koloniach.

I.

Wzmiankowany już przez nas Knapp⁽¹⁾ zestawia porównawczo początki plantatorskiego niewolnictwa w amerykańskich koloniach zamorskich z początkami pańszczyzny folwarcznej w ziemiach pruskich, położonych na wschód od Elby i Odry. Oba te urządzenia gospodarczo-społeczne powstają w jednym czasie, w XVI wieku i mają wspólny charakter, pobudki i cele. Dążeniem zarówno plantacji kolonialnych, jak i gospodarstw folwarcznych jest wyprodukowanie jaknajwiększej ilości, najtańszym kosztem, produktów na wywóz, a więc towarów, środkiem ku czemu jest posiadanie odpowiednich obszarów gruntowych, uprawianych i obrabianych przez odpowiednią ilość sił roboczych, utrzymywanych w większej lub mniejszej zależności od właścicieli plantacji czy folwarków, bądź w stanie prostego niewolnictwa, bądź też w stanie zależności pańszczyznianej, która posiada różne stopnie, począwszy od zupełnego prawie niewolnictwa aż

(1) Patrz artykuł p. t. „Stosunki agrarne w ziemiach pruskich.“ „Głos,” grudzień 1893. Z powodu dzieła Die Landarbeiter in Knechtschaft und Freiheit. Ursprung der Sklaverei in den Kolonien von G. F. Knapp. Leipzig 1891.

do czynszowej prawie zależności, opłacanej w naturze.

Krzysztof Kolumb wylądował, jak wiadomo, na Antylach w r. 1493, już zaś w dniu 2 lutego 1494 r., po zburzeniu przez Indyan nowo utworzonej osady Izabella, flota złożona z 12 statków, pod dowództwem admirała Antonio de Torres powiozła z Haiti do Hiszpanii towar ludzki, złożony z niewolników indyjskich, mianowicie zaś z Karaibów i Antillenów, przeznaczonych na sprzedaż, na istniejącym już poprzednio targowisku niewolników w Sewilli. Nowym zdobywcą na wyspach amerykańskich brakowało wszystkiego do trwałego osiedlenia się i czasowego nawet pobytu tamże, mianowicie zaś: bydła, owiec, trzody chlewnej, koni, zboża i ogrodowizn. Mieli tylko trochę ryb i zwierzyny, zresztą zaś owoce i tytoń, co było trochę za mało do rozpoczęcia życia cywilizowanego w Nowym Świecie. Kolumb więc, wysyłając ów ładunek niewolników, pisał, ażeby mu wysłano wzamian, czego potrzeba było do osiedlenia się na nowo-odkrytym lądzie, za owe zaś brakujące przedmioty płacić obiecywał gotówką, w postaci niewolników indyjskich, których miał wysłać jaknajczęściej, na żądanie.

Cztery dni tylko sprzedawani byli czerwonoskórzy Indyanie na targowisku Sewilli. Królowe Izabellę opanowały skrupuły religijne, kościół bowiem od dawna występował przeciw niewolnictwu, poleciła więc zapytać, czem zasłużyli sobie ci nieszczęśliwi, na los tak surowy, tymczasem zaś wstrzymać wyprzedaż ludzkiego towaru. Wypada dodać jeszcze, że Kolumb, wysyłając pierwszy transport niewolników do Europy, nadmienił, że wysyłka ta będzie nadto z korzyścią dla wysyłanych, w Hiszpanii bowiem łatwiej im będzie poznać prawdziwą wiarę, przyjąć chrzest a przeto pozyskać zbawienie wieczne.

Dalsze transporty Indyan na targowisko Sewilli zostały wstrzymane, co jednak nie uchowało tubylców amerykańskich od niewoli. Bydło, zboże i potrzebne narzędzia przysłano ze starego świata, gdy jednak zdobywcy zapragnęli zagospodarować się w Nowym świecie, zabrakło im jeszcze ludzkiego roboczego materiału. Dumni Hiszpanie bądź nie chcieli poniżyć się sami do pracy nad rolą i około gospodarstwa, bądź też było ich zbyt mało, a każdy z nich chciał być panem i rozkazywać, niebawem więc oddano im władzę nad Indyanami (encomienda), wydzielając każdemu

z owych panów osiedleńców odpowiednią liczbę Indyan do roboty (repartimento). Sądono przytem iż w ten sposób zapewni się nie tylko porządek w kraju, lecz i Indyanie, zbliżeni do chrześcijańskich panów, tym rychlej zagustują w chrześcijaństwie.

Wszystko układało się jaknajlepiej, tylko Indyanie nie zbyt zadowoleni byli z nowego swego położenia, tymbardziej że pracować im kazano nie tylko na roli, lecz także przy przemysłu złotego piasku i w kopalniach. Królowa Izabella zgodziła się na ten nowy porządek rzeczy, motywowany względami ekonomicznymi, sądono przytem, iż Indyanie mogliby być wynagradzani za swą pracę jako najemnicy; okazało się jednak, że odpowiedzialniejszą będzie zależność niewolniczo-pańszczyzniana, tymbardziej że Indyanie nie chcieli pracować jako najemnicy i burzyli się tak, iż nowy zarządca kraju Ovando, uśmierzając niepokornych, powiesił lub spalił w ciągu 7 tylko miesięcy, jak mówi o tem sucha notatka kronikarska, 84 samych kacyków, czyli przywódców plemion indyjskich. Początkowo wymagano od Indyan tylko 8 do 9 miesięcy pracy w roku, pozostawiając ich nadto w ich własnych siedzibach; później atoli wydało się dogodniejszym osadzać ich w pobliżu dworów na stałe zamieszkanie, wyznaczając im przytem po kilka zagonów pola na własny użytek. Nowe warunki bytu przechodziły jednak siły dawnych mieszkańców wysp Antylskich. Przeciężeni pracą, do której byli nie nawykli, ginęli na roli a bardziej jeszcze w kopalniach, ci zaś, którzy zachowali swobodę, zmuszeni byli kryć się w lasy i góry, gdzie również niebawem wyginęli od chłodu i głodu.

Podobnie kształtowały się stosunki nie tylko na wyspach, lecz i na stałym lądzie amerykańskim.

Gdy Korteż z garstką awanturników podbił państwo Azteków w Meksyku, stanął przed zdobywcami ten tam problem, co i przed osiedleńcami na Antyllach. Ażeby się zagospodarować i osiedlić w charakterze rasy panującej, trzeba było zaprzadź Azteków do robocizny i posłuszeństwa. Korteż, który był człowiekiem wykształconym i wyżej nieco stojącym po nad swych towarzyszy, pisząc do cesarza Karola V-go o swych podbojach i podnosząc wysokie uzdolnienie i odrębną cywilizację Azteków, uważał pierwsiastkowo, że szkoda by ich było zaprzadź do pracy niewolniczej. Później jednak, pod parciem ekonomicznym

futerko mięciutkie, delikatne, aksamitem, prążkowanym pokryte.

Zdziwiona, cuda te oglądała i, co o tem myśleć, nie wiedziała.

Z niewiadomości wyprowadziła ją matka. Do wyjaśnienia posłużyły słowa następujące:

- Na gwiazdkę, od starego hrabiego...
- Oh!... — westchnęła.
- Dziś w pałacu po obiedzie będziemy...
- Coo?... —
- Hrabia prosił...
- I pójdziem tam?...
- Pojedziemy... Sanie po nas przysze...

Joasi różne do głowy przychodzić zaczęły myśli, przyoblekające postać postanowień, przedsiębranych i zaniechiwanych. Zrazu iść nie chciała, wcale iść nie chciała, zamierzała udać chorobę, zgrymasić, chwycić się środka pierwszego lepszego i w domu pozostać. Następnie zgodziła się z myślą pojechania do pałacu, lecz w odzieży swojej dawniejszej, w sukni grodeturowej i w salopce watowanej. W końcu, gdy się w strojach gwiazdkowych rozpatrzyła, gdy suknię na próbę na siebie włożyła, i futerko przymierzyła i kordy upięła, gdy się sobie przyglądała:

— „Eh!... — rzekła do siebie — to i cóż?...”

W strojach tych tak pięknie wyglądała, tak jej było do twarzy, tak się sobie samej podobała!

Nie przypuszczała, ażeby ją do czego zobowiązywać miało to, że się ukaże w pałacu w podarunkach hrabiego. Czy to się mało

od niego podarunków nabrała! Czy to dawno u niego na kolanach siadała!

To ostatnie wspomnienie ogromną jej sprawiło przykrość. Czuła się niemal winną. Wprędce atoli wyperswadowała sobie, że panna siedemnastoletnia nie odpowiada za dziewczynkę. Gdyby jej teraz sięść hrabiemu na kolanach kazali. Ah! nie dopuściłaby się tego za żadne świata skarby.

Ten zwrót w myślach przypomniał jej zadane przed niejakimś czasem przez hrabiego pytanie: kogo by wolała, czy jego, czy syna.

„W każdym razie, nie jego, o! nie... nie!...”

Mocnem było jej postanowienie i z tem postanowieniem do pałacu się udała.

Ojciec pojechał osobno, z księdzem proboszczem.

Po panie zaszły sanki orzechowe, parą siwych, dzielnych koni w chomąty dzwoniące ubranych zaprzężone, powożone przez stangreta w liberyi z niedźwiedzim kołnierzem, zaopatrzone w niedźwiedzią obszerną, która okryła matkę i córkę. Joasi w futerku gwiazdkowym było miękko, wygodnie i ciepłutko. Mróz ją w policzki jeno szczypał, ale ona wiedziała, że liczko panienki na mrozie zyskuje w tysiącnasób, — sprawiło jej to zadowolenie pomimo, że nikt na nią nie patrzył Stangret zlekka lejcamy trącił; konie pomknęły; dzwonki zabrzęczały; dziewczynę owionął urok niewysłowiony — przedsmak bytu, do którego duszą całą się rwała i który na nią w jej mniemaniu czekał.

„O Boże... o Boże... — wzdychała. Jak to dobrze, jak lubo, jak miło!... Czyżbym ja mogła jeździć inaczej?...”

Przypomniała się jej podróż z matką do Czerniejowic — bryczeczką obszarpaną, przez parę chmyzów ciągnioną, z parobkiem na kole. Brzydkie wspomnienie! Odegnęła też je wnet i przyrzekła sobie bryczeczką nie jeździć nigdy więcej. Wspomnienie to upokorzyło ją. Całą więc uwagę zwróciła na jazdę sankami hrabiowskimi, na konie, na stangreta, niby posąg przed nią siedzącego, na dzwonki, w których dosłuchiwała się cudnej harmonii. Niedługo to jednak trwało. Sanki wbiegły na podwórze, zatrzymały się przed gankiem; lokaje panie powysadzali; w przedpokoju spotkał je hrabia we fraku granatowym, wyświeżony, pachnący, uprzejmy.

W pałacu do obiadu zasiadło osób kilka — sami mężczyźni, z wyjątkiem pani Grabelskiej i Joasi.

Dalszy ciąg nastąpi.

cznej i politycznej konieczności, odstąpił od tego poglądu i Aztekowie, podobnie jak i pierwotni mieszkańcy wysp antylskich ulegli tak zwanemu „repartimento,” czyli rozdzieleni między zdobywców zmuszeni byli na nich pracować. Wyjątek zrobiono tylko dla Tlaskalteków, plemienia, przy pomocy którego udało się Kortezowi dokonać podboju.

Zdobywca Peru, Pizarro, człowiek surowy i niesumienny, nie miał nawet skrupułów Korteza, zaprzęgając do pracy niewolniczej mieszkańców zdobytego państwa. I tu zaprowadzono „repartimento,” a nawet klasztory, które powstały następnie w tym kraju, nie wahały się korzystać z pracy pańszczyznianej tuziemców.

Sprzedaz poddanych niezależnie od ziemi była przez prawo wzbroniona, nabywca atoli danej posiadłości nabywał oczywiście wraz z ziemią i przywiązaną do niej siłę roboczą. Prawo zakazywało również sprzedawać czeladź domową, rekrutującą się z poddanych, to też w umowach kupna i sprzedaży znajdujemy tylko wzmianki o koszulach pod któremi rozumieć należy właściwie niewolników domowych.

Edward Przewoński.

Medyumizm w osobie E. Palladino.

II.

Umyślnie tak drobiazgowo opisałem doświadczenie z dzwonkiem, ażeby dać czytelnikowi możność dokładnego poznania warunków, w jakich ja sam je obserwowałem. Wyczytawszy w „Kur. Warsz.” w sprawozdaniu jednego z uczestników posiedzeń p. Rajchmana przypuszczenie, iż E. P. wywołała ruch dzwonka za pomocą jakiejś nitki czy włosa, przypuszczenie, głównie oparte na pewnych poruszeniach rąk względem kabłączka i być może sprawiedliwe co do obserwowanych przez p. R. prób tegoż rodzaju, zmuszony jestem raz jeszcze powrócić do tego samego doświadczenia i przypomnieć, że 1) raz sprawdziłem ręką nieobecność włosa lub czegoś podobnego, 2) ruchy rąk E. były równomierne w jedną i drugą stronę po za linię kabłączka, 3) doświadczenie raz widziałem wykonane tak, że w jednym wypadku płaszczyna kabłączka była pionową względem medyum, w drugim równoległą, zewnętrzne zaś ruchy rąk i skutek ich były identyczne, co, pomijawszy inne, mniej ważne względy, przeczy przypuszczeniu włosa lub nitki w danym wypadku.

Na drugim posiedzeniu 10 Grudnia wieczorem urządzoną była jak gdyby ciemna alkowa z kotary w zagłębieniu okna (podobna do tego, co opisał Richet w sprawozdaniu z doświadczeń medyolańskich); całość tego urządzenia odpowiada poniekąd warunkom, wymaganym, jak utrzymują dotychczasowi spostrzegacze medyumizmu, a mianowicie najgłówniejszemu (brak światła), jednocześnie zaś pozwala na znośną kontrolę rąk i nóg medyum, widocznych w oświetlonym pokoju. E. P. siada twarzą do obecnych przy wązkim końcu stolika (zawsze przy stoliku!) tak, że plecy jej stanowią jakgdyby jedną płaszczyznę z lekko rozchyłoną kotarą. Świeca stoi na drugim stole, o 3 metry, zaciemniona abazurem, światło więc pada na twarz, ręce i w ogóle na osobę medyum, ręce jej są widoczne na stole i w zetknięciu z rękami d-rów H. i W., nogi, a właściwiej suknię na nogach widać pod stołem już nie tak wyraźnie; kontrolerzy głośno mówią, że czują stopy E. na swoich. Miejsce za kotarą obejrzelśmy dokładnie, nie znaleziono nic podejrzanego. Ja stoję po za kołem, przy drugiej osobie łańcucha, doskonale wszystko widzę; po półgodzinnym oczekiwaniu i rozmaitych ruchach stołu E. dostaje napadu kurczowego śmiechu, twarz wyraża jak gdyby ekstazę, od czasu do czasu słychać głębokie wdechy—i jednocześnie kotara z lewej strony E. na wysokości łokcia osoby siedzącej przy niej wydyma się szybko ku dr. W., wypuklenie dotyka go w bok, o czem kontroler głośno mówi i znowu wszystko wraca na miejsce; powtarza się to 4 razy z lewej

strony, poczem 3 razy z prawej. Rychło po tem słychać posunięcie małego stoliczka za kotarą ku E. i poruszenie tabliczki na krześle po za plecami medyum.

E. była rozbierana przez kontrolerów (t. j. d-rów H. i W.).

Na trzecim posiedzeniu 12 Grudnia byłem wybrany na kontrolera; warunki doświadczenia te same co i na drugim, t. j. przy urządzonej ciemnej alkowie i przy $\frac{1}{4}$ światła w pokoju. Światło słabsze niż poprzednim razem, Siedzę z lewej strony medyum, widzę dobrze twarz jej, ręce na stole, czuję jedną stopę na swojej, a adwokat L. zaznacza, że drugą stopę E. czuje również na swojej. Przed zaczęciem ustawiłem stolicek na trzech nóżkach bardzo lekki za kotarą, tak, ażeby był wprost za plecami medyum, w odległości 50 ctm. od tylnych nóg krzesła, na którym siedziała E. Jestem o wiele wyższy od E., a więc nogi mam znacznie dłuższe, w tej pozycji jednak dosięgnąć nogą nie byłem w możności; na stoliku stał zwykły trochę większych rozmiarów dzwonek z sercem, blat stoliczka obity jakąś wełnianą materią. E. siada na krześle przed kotarą tak, że plecy jej zanurzone są w kompletnym cieniu alkowy; przed tem posiedzeniem rozbieraną i rewidowaną była w obecności dwóch lekarzy i jednego przyrodnika. Po dość długim oczekiwaniu, przy historycznych kurczowych objawach ze strony medyum, żadne zjawisko nie zachodzi, wówczas E. mówi, że stolicek jest za daleko i dla tego prosi, ażeby ja swoją ręką dotknął go na chwilę; gdy to uczyniłem (medyum miejsca nie zmieniło), E. P. chwytając mnie za rękę, kurczowo ściska, wybucha spazmatycznym śmiechem, wykrzykuje głośno: „przyjdź John, przyjdź nareszcie!” i w chwili najwyższego jej naprężenia, przy mocno zmienionym wyrazie twarzy, słychać wyraźnie posunięcie się stoliczka po posadzce, poczem chwila spokoju, medyum głęboko wzdycha, znowu czkawka głośna i kaszel historyczny, kurecz ręki podniesionej w kierunku ciemni alkowy—i znowu szmer przysuniętego stoliczka. W pięciu takich chwilach, co wespół z przerwami około 15—20 minut może trwało, stolicek podsunął się po przez kotarę pod mój i E. łokieć tak, że mogłem się na nim oprzeć. W tej chwili znać było wyraźne wyczerpanie na twarzy E., dłoń była mocno spocona, a sama ona blada cicho jęczała; podniesiona ręka opadała bezwładnie. Po kilku minutach wypoczynku bez uprzedniego zapowiadania nowy atak kurczowego śmiechu, odpychający ruch ręką E. wraz z moją w powietrzu (potem z ręką dr. D.) i wsteczny ruch stoliczka, co trzykrotnie powtarza się w tem samym mniej więcej tempie. Z powyższego widać, że za każdym razem stolicek posuwał się naprzód około 10 ctm.; po skończeniu posiedzenia stolicek był o 20 ctm. od tylnych nóg krzesła, przy jednym z pierwszych ruchów małego stoliczka dzwonek spadł na ziemię, otóż E. głośno wyrażała chęć, ażeby zadzwonił, ale się jej to nie udało i tylko słychać było, jak dzwonek sunął się po posadzce, poczem znaleziony został pod krzesłem, na którym siedziała medyum.

W tem miejscu muszę zaznaczyć różnicę w obserwacji tak znaczną, że prawie dziwną i dla mnie niewytłumaczalną. Pan R. podaje w Nr. 13 „Kur. Warsz.,” że słyszał dzwonięcie (na tem właśnie posiedzeniu) dzwonek, ustawionych na stoliku, tymczasem z pewnością nic podobnego nie było, jak widać ze słów moich. Notatki robiłem zaraz na miejscu.

Również nieudanem było usiłowanie E. przesunąć stolicek po za swoim krzesłem ku prawej stronie (adv. L.) w ten sam sposób, jak to zrobiła po mojej stronie; po kilku widocznie bardzo dla niej męczących próbach dała temu pokój i stolicek zaledwie zlekka posunął się w kierunku prawej kotary. Wówczas po kilku pukaniach w stole, odpowiadających jak słabe echo pukaniom E. lub moimi palcami na szmer, wywołany tarcieciem dłoni o blat stołu, przy którym siedzieliśmy—wyraźnie słychać było analogiczny szmer w stoliczku za kotarą w tem samym tempie; zjawisko to zauważyłem dwukrotnie; medyum siedziało przy tem zupełnie nieruchomo, trzymając ręce mocno przyciśnięte do stołu. Stokroć więcej podejrzanemi i budzącemi wątpliwość wydały mi się na tem samym posiedzeniu i w powyżej opisanych warunkach t. zw. dotykania przez kotarę przy

kontroli rąk medyum za pomocą wzroku a nóg pod stołem tylko za pomocą naszych stóp. Byłem dotykany tylko ja, siedzący z lewej strony E. i tylko w prawy bok dwa razy, raz w łokieć, raz w udo; wszystkie dotknięcia bardzo lekkie i krótkotrwałe robiły wrażenie jakgdyby jakiegoś twardego ciała formy zaokrągłej, dotknięcie zaś w udo wydawało mi się znacznie silniejszym i pochodziło od ciała formy podłużnej.

Mechanizm był następujący: po pewnem oczekiwaniu wyraźnie można było nie tylko widzieć, ale słyszeć i czuć chwianie się kotary z mojej strony, chwilami wypuklenie jakieś na wysokości mego łokcia, szybko powstające i znikające równie szybko, wyglądało to na nieudane próby dotknięć. Od mego boku do kotary było kilkadziesiąt centymetrów, a od łokcia ze 25 ctm.: w tylko co opisanych poruszeniach i wypukleniach kotara nie musnęła nawet wystającego mego łokcia. Wówczas E., widocznie zirytowana, co dość wyraźnie malowało się na jej twarzy, chwytając dolny brzeg kotary i zakłada go na stół, przy którym siedzimy, pod rękę moją i swoją, sama wygina się bardzo mocno korpusem w stronę odwrotną ku adv. L., i następują powyżej opisane dotknięcia. Czy tego wieczora miała rozpięte buciki, powiedzieć nie umiem, ale to wiem, że gdy pierwszy raz rewidowałem E. osobiście bardzo szczegółowo, zastanowiło mnie, że po włożeniu bucików nie zapięła ich; gdy zwróciłem uwagę na to i zaproponowałem zapięcie, oparła się temu pod pozorem, że i tak już długo na nią czekają w salonie.

Na czwartym posiedzeniu (w ciemności) rewidując pozycję prawej nogi medyum, znowu znalazłem bucik rozpięty; na ostatnim jednak posiedzeniu ręką stwierdziłem, że buciki zostały zapięte, objawy jednak były bardzo podobne.

Gdy w dalszym ciągu sprawozdania przejdę do objawów, wywoływanych przez E. w warunkach mniejszej kontroli i bezwarunkowo nasuwających myśl kuglarstwa, szczegółowo wskażę tych kilka ciekawych, podług mnie, obserwacji, jakie osobiście poczyniłem, będąc czterokrotnie (na pięć posiedzeń) kontrolerem medyum. Tu tylko nadmienię w związku z doświadczeniem „za kotarą”, że robiąc próby z dotykiem w tych samych prawie warunkach u siebie w domu, analogiczne wrażenia otrzymałem „od stopy w pończosze”: piętą—coraz mniej rozległe dotknięcia, bokiem stopy—podłużne. Co się zaś tyczy kontroli nogami, to jest ona wykonywaną w sposób rzeczywiście nie mogący zadowolnić uważniejszego obserwatora: z początku E. pozwala mi postawić stopę, a właściwie palce nogi prawej na swojej stopie, prędko jednak zmienia to odwrotnie, utrzymując, że ją zbyt silnie naciskam, i opiera swoją stopę na mojej, przyczem kolana nasze są w zetknięciu. Gdy dostaje napadu historycznego, nogi są w ciągłym ruchu, kolano ginie gdzieś dalej, a stopę niby to się czuje ciągle, ale są chwile, w których i tego nie można być pewnym. Kilka razy jednak w takiej chwili bez ceremonii sprawdziłem drugą nogą (szczególniej w ciemności), a dwukrotnie lewą ręką pod pozorem wyjęcia chustki do nosa—pozycję nóg medyum, i zdziwiony znajdowałem obiedwie jej nogi w pierwotnem położeniu, chociaż objawy tylko co były się ukazały. W warunkach lepszej kontroli dotykany byłem na dwóch ostatnich posiedzeniach—i tych żadnem przypuszczeniem sztuki objaśnić sobie nie potrafię.

Dr. J. Harusewicz.

Postępy bakterjologii.

Bakterje. Dr. W. Migula, przekład d-ra M. Flauma. Warszawa. Nakładem Lewentala. 1893.

Bakterjologia jest nauką najmłodszą w szeregu nauk przyrodniczych. Nie przeszkodziło jej to jednak wywrzeć tak potężnego wpływu na pojmowanie licznych zjawisk w świecie ożywionym, a nawet, przynajmniej pozornie, i nieożywionym, że śmiało można odkrycia

i przewroty naukowe, dokonane pod wpływem tej nowej gałęzi wiedzy, porównać do odkrycia komórki zwierzęcej i roślinnej, albo pierwszego sposobu otrzymywania t. z. związków organicznych na drodze sztucznej, lub prawa zmienności istot ożywionych w walce o byt.

Odkrycia bakteryologiczne są tem ciekawsze, iż rzucają nam całkiem nowe światło na szereg zjawisk dostępnych dla każdego, codziennie się powtarzających, dla nikogo nie obojętnych. Nic dziwnego zatem, gdy nie tylko uczeni, ale i profani interesują się postępami bakteryologii; nie dziwnego, jeżeli każdy, kogo obchodzi własne zdrowie, interesuje się bakteriami, pragnie je poznać, stara się dowiedzieć, jak ich uniknąć, słysząc powtarzane co chwila zdanie, że bakterie wywołują choroby. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że zarówno z punktu widzenia teoretycznego czy praktycznego, bakteryologia wywarła największy wpływ na medycynę. Słuszną jest zatem rzeczą rozważyć obecny stan bakteryologii naprzód ze stanowiska lekarzkiego.

Bakteryologia poucza nas, że istnieje szereg chorób u człowieka i zwierząt, wywołanych przez zagnieżdżenie się i rozmnażanie w ustroju rozmaitych bakterii. Choroby takie zowią się wogóle zakaźnymi, a bakterie, wywołujące je, chorobotwórcami. Ponieważ bakterie dzieli się, tak jak zwierzęta i rośliny, na rodzaje i gatunki, posiadające cechy do pewnego stopnia i w pewnych granicach stałe, więc odrazu zjawia się pytanie, czy pewien gatunek bakterii chorobotwórczych wywołuje zawsze tę samą chorobę. Na to można odpowiedzieć, że bywa rozmaicie. Są bakterie, które rozwijają się tylko w pewnych narządach, np. bakteria, wywołująca gorączkę powrotną, daje się wykryć tylko we krwi chorego. Inne rozwijają się gdziekolwiek, lecz powodują zawsze tę samą chorobę, np. bakteria przymiotu; są takie, które rozwijają się gdziekolwiek, lecz wywołują chorobę zmienną objawów w zależności od zajętego organu, choć tę samą co do swej istoty, np. lasecznik gruźlicy, który zawsze wywołuje gruźlicę, choć może rozwijać się np. tylko w płucach lub skórze, w kościach lub kiszkiach i t. d. Są bakterie, które rozwijając się w rozmaitych organach, wywołują zupełnie różne co do istoty sprawy chorobowe np. bakterie, wywołujące zapalenie ropne podskórne szpiku kostnego, ran i t. d. wywołują w jamach stawowych reumatyzm ostry; bakteria tyfusu brzuszego, charakterystyczna dla tej choroby, może wywołać zapalenie ropne opon mózgowych lub szpiku kostnego. Nareszcie są bakterie względnie chorobotwórcze, t. j. takie, które wywierają szkodliwy wpływ niezawsze i w pewnych tylko, po większej części nieznanych nam, warunkach, np. pewna bakteria, znajdująca się stale w kiszkiach grubych człowieka, nie wywiera w nich zdaje się żadnego szkodliwego działania, a jednak w ostatnich czasach przekonano się, że może ona powodować zapalenie dróg żółciowych, gruczolu krokowego i innych narządów.

Jeśli zadamy sobie pytanie odwrotne, czy pewna choroba zakaźna jest wywołwana zawsze przez określony gatunek bakterii, to już z powyższych słów można wnosić, że tak bywa nie zawsze. Rzeczywiście zapalenie płuc np. wywołwanem bywa przez dwa zupełnie odmienne gatunki; zapalenia ropne są skutkiem kilku co prawda bardzo podobnych, lecz i kilku zupełnie rozmaitych gatunków, istnieje jednak dużo chorób, wywołanych stanowczo przez swoisty gatunek np. gruźlica, karbunkul, nosaczka, dyfteryt, rzeżączka, trąd, przymiot i wiele innych.

Bakterie chorobotwórcze wywołują pewną chorobę po większej części w skutek samej swej obecności rozwoju i mechanicznego lub chemicznego drażnienia zajętej tkanki. Wywołane zapalenie i zmiany anatomiczne stanowią chorobę. Bywa jednak inaczej. Bakterie mogą nie wywoływać żadnej miejscowej sprawy, lecz wywołując wskutek własnej przemiany materii związki trujące, zatrująwają niemi zajęty przez się ustrój. Za przykład może posłużyć lasecznik tężca. Bywa i tak, że choroba składa się z miejscowych objawów i z ogólnego zatrucia, jak to się zdarza np. przy tyfusie brzuszonym.

Wszystko to, o czem mówiliśmy, mając na

uwadze człowieka, stosuje się także do zwierząt. Przekonano się, że zwierzęta mogą chorować na te same choroby zakaźne, wywołane przez te same bakterie co u ludzi. Przekonano się również, że są choroby właściwe tylko ludziom np. tyfus lub przymiot i są choroby właściwe tylko zwierzętom; że niektóre zwierzęta nie podlegają wcale pewnym chorobom, podczas gdy inne pokrewne im bywają dziesiątkowane, że są choroby, które dotyczą wszystkich zwierzęta ciepłokrwiste, jak np. gruźlica, zresztą dowiedziono i odkryto wiele innych pokrewnych zjawisk, których tu szczegółowo niepodobna wyliczyć. Niektóre zjawiska były znane, co prawda, przed powstaniem bakteryologii, ale w sposób niezbity zostały one potwierdzone doświadczalnie i znacznie rozszerzone dopiero przez bakteryologów w pracowniach.

Z zestawienia stosunku rozmaitych zwierząt do pewnych zakażeń, a również ze spostrzegania, że pomimo łatwości nabycia zakażeń, nie wszyscy jednak ludzie chorują na daną chorobę np. podczas epidemii, że jedni chorują i umierają, inni zaś przechodzą do zdrowia, nasunęło się pytanie od czego zależy taka odporność niektórych ustrojów przeciw zakażeniu i czy nie możnaby w braku wrodzonej odporności nadać jej sztuczną? Niepodobna przytaczać tu wszystkich badań i doświadczeń tembardziej, że nie posiadają one często praktycznej wartości i starają się rozstrzygnąć kwestyę tylko w sposób teoretyczny. Można tylko nadmienić, iż stopniowo coraz bliżej dochodzimy do prawdy, że przeciw niektórym chorobom zakaźnym zdołano już sztucznie wytwarzać odporność, a przez to nawet leczyć choroby lub ograniczać epidemie (szczególniej u zwierząt), jednym słowem osiągnęli wyniki całkiem praktyczne, bo lecznicze lub zapobiegawcze. Metody używane w tym celu są rozmaite. Niekiedy wprowadza się umyślnie zarazek osłabiony, ponieważ przekonano się, że osobnik pod wpływem choroby słabej robi się na silną niewrażliwym, jak to bywa np. przy szczepieniu ospy u ludzi lub karbunkulu i obrzęku guzowego u zwierząt, to znów korzystając z okoliczności, że pomiędzy chwilą zakażenia a wybuchem choroby upływa znaczna ilość czasu, szczepi się dalej tę samą chorobę, aby człowieka lub zwierzę przyzwyczaić do jadu, jak to się dzieje przy szczepieniu ochronnem wścieklizny według metody Pasteura. W innych przypadkach zastrzykuje się ludziom i zwierzętom zakażonym surowicę krwi zwierząt uodpornionych, ponieważ przekonano się, że taka surowica posiada własności lecznicze. Tak bywa przy leczeniu tężca i błonicy (dyfterytu).

Trudno powiedzieć, czy bakteryologia zdoła znaleźć środki przeciw wszystkim chorobom zakaźnym. Trudności stające na drodze poszukiwaniom są niekiedy prawie nie do pokonania. Pamiętać również należy, że bakteryologia jest nauką bardzo młodą, a sposoby leczenia chorób zakaźnych dziesięciu lat nawet za sobą nie liczą, ba, niektóre metody leczenia ogłoszono dopiero w roku przeszłym. Ciągły jednak postęp badań daje nadzieję na przyszłość.

Wynikiem badań bakteryologicznych jest również stosowanie dezynfekcyi dla powstrzymania rozwoju chorób epidemicznych i antyseptyka w chirurgii. Oboje są owocami nowej nauki. O wartości antyseptyki niema co dużo mówić. Operacje, o których dawniejsi chirurgowie mogli tylko marzyć, ratujące niekiedy od nieuniknionej śmierci, są teraz na porządku dziennym. Wszystkie gałęzie medycyny, mające związek jakkolwiek z chirurgią, zyskały niepomierne na wprowadzeniu antyseptyki,

Jak antyseptyka jest zabijaniem środkami sztucznymi zarazków, dostających się do ran, tak dezynfekcja jest tem samem względem zarazków znajdujących się na przedmiotach, które mogą je przenosić i w miejscach, gdzie mogą się one przechowywać. Cokolwiekby się dało powiedzieć przeciw masowemu stosowaniu dezynfekcyi wobec grożącej epidemii, zamiast istotnej poprawy warunków życiowych proletaryatu, nie zmniejszy to jednak wartości tego środka zapobiegawczego. Lepszą jest istotna walka, niż rozmaite *pia desideria*.

Potrącając o dezynfekcję, należy jeszcze wykazać, jakie usługi wyświadczyla bakteryologia higienie. Dowiodła ona w wielu wypadkach, jakie są drogi zakażenia i potwirdziła do-

świadczalnie przypuszczenia dawniejsze. Tem samem wskazała nam ona gdzie, jak i kiedy walczyć, czego unikać a co robić należy. Te są istotne korzyści, wyświadczone medycynie przez bakterie. Jeśli nie dla wszystkich chorób zakaźnych znalezione są swoiste bakterie lub pasożyty, jeśli kilka zaledwie osób leczyć umiemy swoistemi środkami, jeśli nie każdą epidemię zwalczyć potrafimy od razu i nie od każdej choroby zakaźnej ustrzedz się, to spodziewać się jednak należy dalszych postępów. Każdy rok, jeśli nie miesiąc, przynosi coś nowego.

Jak dokładne zbadanie pierwszego poznanego gatunku, który był chorobotwórczym, a był to lasecznik karbunkulowy, otworzyło nowe pola dla badań medycznych, podobnie samo zjawienie się bakteryologii wywołało przewrót w wielu pojęciach i teoriach biologicznych i chemicznych, wywołało nowe objaśnienie zjawisk ciemnych lub tłumaczonych mylnie. Ze zjawieniem się bakteryologii upadła teoria samoródtwa, błakająca się jeszcze tu i owadzie. Genialne badania Pasteura, twórcy bakteryologii, wykryły przyczyny fermentacyi i gnicia. Odtąd zjawiska te, spotykane na każdym kroku, w każdym niemal miejscu, znalazły należyte objaśnienie. Przekonano się, że nie są to procesy czysto chemiczne, lecz głównie biologiczne, będące wyrazem działalności życiowej bakterii lub ustrojów bardzo niskich, grzybków drożdżowych lub pleśniowych. Niema fermentacyi i gnicia bez udziału istot organizowanych, a pozorny rozkład pośmiertny szczątków zwierzęcych i roślinnych polega na pojawieniu się nowego życia. Przekonano się, że istnieje wiele gatunków fermentacyi, a każdy gatunek jej jest wywołwanym przez swoisty mikroorganizm. To samo można powiedzieć o gniciu, które, biorąc rzecz ściśle, nie różni się w istocie od fermentacyi; istnieje niewątpliwie wiele gatunków gnicia w zależności od rozmaitych bakterij wywołujących je. Mało jednak zbadane są te zjawiska w porównaniu do zjawisk fermentacyjnych, prawdopodobnie z powodu mniejszego znaczenia praktycznego.

W związku z powyższem jest wykazanie przez bakteryologią na czem polegają tak zw. choroby wina, piwa, chleba, mleka, sera i in. przedmiotów codziennego użytku, choroby, dla których nie było dostatecznego objaśnienia, uważane niekiedy nawet za cuda np. czerwienienie opłatków. Teraz wiadomo, że są to albo zjawiska ubocznej fermentacyi, albo poprostu polegają na rozwoju pewnych gatunków bakterij w danym środowisku.

Nauka biologii zyskała na poznaniu dokładnem nowych postaci morfologicznych, najniższych ze wszystkich, znanych nieraz ze szczególnymi cechami fizyologicznymi. Bakterie nie są ani zwierzętami, ani roślinami i stoją bardziej niż jakie inne istoty na pograniczu między dwoma działami ustrojów. W bakterjach wreszcie zyskano ów szczebel, łączący drabinę życia zwierzęcego z drabiną roślinnego. Rozkładając złożone organiczne materje w resztkach zwierzęcych i roślinnych na najprostsze związki chemiczne, dostarczają bakterie wciąż nowego pokarmu dla roślin i utrzymują ciągle w równej mierze tę ilość obiegowej materji pożywczej, bez której życie byłoby niemożliwym. Szczególne wreszcie sposoby badań bakteryologicznych wysoko rozwinięte, a ciągle dalej rozwijane i urozmaicane, wzbogaciły wogóle technikę naukowego badania.

Wobec takiego rozwoju bakteryologii pożądanem jest, aby obznajmiały się z nią jak najszersze sfery, tymbardziej że istnieje taka nieznanomość przedmiotu, takie uprzedzenie a niekiedy błędne tłumaczenie zjawisk, że tylko uprzystępnienie tej gałęzi wiedzy może zaradzić złemu. To też, pożądanem jest wszelkie dziełko, popularyzujące nowe pojęcia. Dr. M. Flaum przetłumaczył jedno z nielicznych takich dziełek. Autor, docent botaniki, dr. Migula w sposób zrozumiały dla średnio ukształconego czytelnika przedstawił w formie wstępu historję powstania i rozwoju bakteryologii. Dalej, opisane są postacie bakterij, rozmnażanie, warunki życiowe, własności fizyologiczne i metody badania, co urozmaicane jest opisem kilkudziesięciu ważniejszych gatunków. Wreszcie przedstawiono stosunki bakterij do otaczającej je przyrody, a więc zdolności chorobotwórcze, wywołwania fermentacyi i gnicia.

Nie pomija autor również ważniejszych danych, jakie zdobyto na polu sztucznego uodporniania zwierząt i ludzi przeciw chorobom zakaźnym. Wykład jest łatwy i przystępny dla wszystkich, nawet zupełnie z bakterjologią nie obeznanych, lecz posiadających cokolwiek wiadomości przyrodniczych. Wadą jednak jest pewna chaotyczność, spowodowana tem, że obszerną treść chciał autor zmieścić w szczyplych stosunkowo ramach. Zamiast wzorem angielskich popularyzatorów wybrać pewien charakterystyczny gatunek i opisać go szczegółowo, a tem samem dać pojęcie o całości, autor z nadto rozdrabnia opis, zajmując się licznymi gatunkami. Niezem też usprawiedliwionym nie jest przez autora dowolny podział bakterji na chorobotwórcze, barwnikotwórcze i wywołujące fermentację; istnieje bardzo dużo gatunków, które z jednakową słuszością można by umieścić w dwóch działach, nie wiedząc, któremu oddać pierwszeństwo.

Nie wiadomo również, czemu wybiera autor do opisu gatunki mało charakterystyczne, jak np. lasecznika tyfusowego, lub weale nieznanne w czystych hodowlach, jak lasecznika trądu lub mikroba gorączki powrotnej. Zbyt stosunkowo dużo miejsca poświęcił autor opisowi ochronnego szczepienia zwierząt przeciw obrzękowi gazowemu (nieślusnie nazwanemu przez tłumacza węglkiem gazowym) i róży świń, a nie uwzględnił metody leczenia surowicą. Nie można zgodzić się z autorem, że streptococcus pyogenes występuje prawie wyłącznie przy złośliwym zapaleniu szpiku kostnego (str. 101), ponieważ tę samą chorobę wywołują też inne bakterje, a streptococcus powoduje bardzo często zwyczajne ropienie. Końce laseczek karbunkulowych nie są zaokrąglone, lecz ostro ścięte. (str. 103) Bywają gruźlicze zapalenia stawów nie tylko kolanowych (str. 125) lecz i innych. Laseczniki gruźlicze nie roznoszą się w powietrzu po wyschnięciu płwociny, (str. 129) lecz roznoszą się jakieś inne postacie rozwojowe. Cholera zarazić się mogą nie tylko osoby u których trawienie jest upośledzone (str. 149). Lasecznik niebieskiej ropy nie jest weale niewinnym pasorzytem (str. 156) bo może wywołać nawet ogólne zakażenie. Kadaweryna czy czysta czy nieczysta, nie jest trującą (str. 174); trującymi bywają inne ptomainy, które mogą zanieczyszczać kadawerynę. Jeśli chodzi o ściśłość to w każdej kropli kwaśnego mleka jest mniej więcej milion bakterji (str. 185). Bakterje tyfusu i cholery (str. 192) znajdują się podczas choroby nie tylko w kiszczkach, mogą być one i w innych organach. Kwas żołądkowy (str. 196) nie istnieje, jest tylko kwas solny w żołądku.

Usterki powyższe w treści nie bardzo szkoda wartości dziełka, należy jednak w książkach popularnych unikać ich jaknajbardziej. Tłumaczem jest dość staranne. Mylnie jednak używa tłumacz wyrazu „rodzaj“ zamiast gatunek, „rasa“ zamiast odmiana, „biczki“ zarzęski, okres utajenia choroby, zamiast przyjętego okresu wylegania. Unikać również należałoby takich zwrotów jak: „winne chorobom“, „śledzić za istotami“, „od wysokiego udoskonalenia“... zamiast po udoskonaleniu, „temu niedawno“ „za wyjątkiem“, „barwią się od roztworu“, „umierać od czego“, „nazywamy enzymy, zamiast enzymami“, „nabywać co“, „nie oddaje weale dobrych usług“, „azyatycka cholera“, „wschodnia Azja“, „zakaźne choroby.“ Są to usterki, których łatwo uniknąć, a nieprzyjemnie bardzo brzmią dla ucha.

Całość dziełka przedstawia się dodatnio. Polecić je można każdemu, kto chce dowiedzieć się o wielu nieznanych zjawiskach, których przyczyną — drobne lecz potężne istoty,

Dr. A. Żurkowski.

Rachunki krytyczne. *)

II.

Innego rodzaju pozę i teatralność reprezentuje autor „Mimozy.“ Jeżeli Rodziewiczówna grzeszy nienaturalnem przecenianiem zwykłych czynników ludzkiego bytu, przesadza w oświetlaniu pospolitych sytuacji życiowych i sprawia

wrażenie umysłu wykołajanego każdą świeżo przeczytaną książką, wstrząsanego — nieproporcjonalnie do siły bodźca — każdą świeżo poznaną ideą, lub pierwszy raz doznaniem uczuciem, umysłu, który wpada w zdumienie wobec zagadnień nie zupełnie sfinksowej natury i z tego powodu traci poczucie miary w akcentowaniu ich znaczenia, to przynajmniej okupuje te wszystkie wady i naiwności zdolnością żywego przejmowania się rozmaitemi sprawami, ma pewien ogień i pewien polot, którym tylko brakuje prawdziwie głębokich myśli i silnych uczuć, ażeby wznieść się tam, gdzie wzrok pospolity nie sięga.

Rodziewiczówna „rwie się i trzepie, jak huraganów rześisty pył“ z lada błahej przychyni, pan Anatol Krzyżanowski, przeciwnie, pozuje przedwcześnie na wielkie doświadczenie życiowe. To także właściwość pensjonarskich umysłów, które w obawie, by im nieodmówiono kwalifikacji sążenia o rzeczach niedostatecznie jeszcze poznanych, starają się, sądy swe o nich, formułować w sposób kategoriyczny, rezolutny, poważny i tem samem sprawić wrażenie „wyrobienia“ i powagi myśli.

Umysły takie starają się nakazać sercu milczenie, tam właśnie gdzie okazanie jego jest najbardziej stosownem, dobierają wyszukanych zwrotów mowy — tam, gdzie proste zdanie najlepiej rzecz określa, powściągają siebie w swobodnym wyrazie szczerych, naiwnych uczuć, bojąc się, jak ognia, zarzutu dziecinnego sentymentalizmu. Nadewszystko jednak gustują w dowodzeniu słuszości prawd typu: dwa raza dwa, cztery, lub podobnych namiętnie poszukują kontrastów życiowych, takich szczególnie, któreby „niezbicie“ wykazywały — najczęściej wtenczas, kiedy nikt się o to więcej nie spiera — jaką przepaścią oddzielony jest ideał od rzeczywistości, jak to, co, przeciętny śmiertelnik, zwykł uważać za szczęście — jest nikłem w porównaniu... z nieskończonością it. d... A wszystko to dla tego, żeby przekonać nieufnych, że się jest już samodzielnym w myśleniu, przenikliwym, trafnym. Próżne starania! Zawsze bowiem jakieś sztydelko pensjonarskie wysunie nie w porę swe ostrze i popsuje całą robotę. Odsloni się wówczas i sentymentalizm ekliwy i sztuczność wzruszeń i wciskanie gwałtem do rozmowy z obcymi, rzeczy, co najwyżej, mogących obchodzić najbliższe otoczenie i t. p.

Posłuchajmy z jaką udaną prostotą i przekonaniem o ważności przedmiotu rozprawia pan A. Krzyżanowski o swojej „Mimozie.“ „Uosobienie bezwiednego wdzięku“ p. Wanda Bielecka, jest siedemnastoletnim dziewczęciem, wychowanem w cieplarnianej atmosferze zamożnego niegdysz szlacheckiego domu. Młoda latorośl okazuje dużo samodzielnego pragnień, marzy o pracy na kawałek chleba i uznaje potrzebę zmieszania się z szarym tłumem. Nadewszystko jednak, pomimo tego, że od świata była odcięta, zdumiewającą prowadzi rozmowy z bardzo wytrawnymi okazami płci brzydkiej, w których to rozmowach nie wiadomo co więcej podziwiać: wytworny jej wdźwięk, czy też przenikliwość i bystrość myśli, jakimi najdoświadczeńsza nawet „femme de trente ans“ nie pogardziłaby weale. Właśnie w czasie, kiedy p. Wanda w marzeniach swoich daleko posunęła się w kierunku mieszania się z „szarym tłumem“, na drodze jej życia staje parę osób, przekonywujących ją, że byłoby to zmiażdżeniem takiej jak ona „wybującej roślinki.“

Jednym z tych znawców „roślinności egzotycznej“ — jest daleki jej krewny, zamożny, stary kawaler p. Tadeusz Radwan, drugim — p. Wiktor Broniecki młodzieniec złoty, o wymownem spojrzeniu, ale zrujnowany birbant. Spokojny, pełen chłodu i równowagi radca Radwan, którego serce drzemało oddawna, trzymano na wodzy żelazną pracą i poczuciem obywatelskich obowiązków, olśniony wdźwiękami uroczej siostrzenicy, obudził w sobie pragnienie hymenu. Kiedy jednak radca pełen skrupułów rozważał nad zmianą jaką w sobie dostrzegł, od chwili poznania czarodziejki — siostrzenicy, p. Broniecki nie traci czasu na próżne rozterki i wszelkimi drogami starał się trafić do jej serca.

P. Wandzie nadszkiewanie płomiennego młodzieńca zaczyna się podobać. Zniecierpliwilo to ostatecznie p. radcę, postanowił więc skończyć raz z tem wszystkim. Nie pytając dłużej, co ma dalej robić, udał się do mieszkania swej siostrzenicy, stanął przed nią i powiedział uroczyście: „Wandziu, czy zechciałabyś ze mną życie całe przeżyć?“ Panienska, sądząc z początku, że to chodzi o opiekę nad nią, nie w pierwszej chwili nie miała przeciwko temu, widząc jednak, że p. radca poważniej nieco rzeczy bierze i, że z wujaszkiem nie przelewki, zgłupiała na propozycję zostania jego żoną i przekonałszy się, że to nie są kpiny z jego strony, poprosiła go o czas do namysłu i oswojenia się z czemś tak dla niej dziwnem. Prędko pogodziła się jednak z zabawną myślą zostania „własną cicią“, poradziła się serca swego, uległa perswazyom matki, niedającej za wygraną myśli odbudowania utraconej fortuny i wkrótce szła z wujem do ołtarza, w drodze do którego zupełnie niepotrzebnie, szeptał jej pan radca: „śmieiej, najdroższa.“

Autor, sam widocznie zdumiony śmiałością swego oryginalnego pomysłu, powiada skromnie, tłumacząc postępowanie „wybującej roślinki“ marzącej niegdysz z zapalem o samodzielnej pracy i t. p. że: „w siedemnastej wiosnie tak łatwo ulega się nowym wpływom.“ Jednakże wpływem swego zrownoważonego małżonka nie bardzo podlegało siedemnastoletnie „uosobienie bezwiednego wdzięku“, dziś, mające, prócz tego, coś więcej uosabiać, bo poważne stanowisko pani radczyni. Pragnął surowy pan radca nagiąć „wybującej roślinkę“ do swoich pojęć o życiu, do jego zadań i obowiązków, chciał z niej zrobić przynajmniej panią domu, jak się należy, i gospodynię. I tu właśnie zaczynają dopiero objawiać się własności Mimozy. Wszystkie zamiary radcy w tym względzie niweczyła „Mimozą“ swoją czułością, peszczołami, szczebiołtem upajającym rozkochanego małżonka. Radca ulegał z początku rozkoszom czarom, wzrastając jednak dzieciństwa pustej, bez myśli i celów w życiu osoby, zaczęły go drażnić, coraz zawziętym więc stawał się w chęci nagięcia jej do poważnych zadań życiowych.

Na Mimozę działało to w sposób haniębny; Mimoza kureczyła swe listki, kaprysiła, dotykała p. radcę w jego „hierarchicznych pojęciach“ t. j. narażała jego powagę na kompromitację, w końcu doszła do przekonania, że między nią a mężem wspólność myśli i celów, trudną jest do przeprowadzenia.

Nareszcie doszło do tego, że dziecięca żywość Wandzi, tłumiona wobec radcy — poucza p. Krzyżanowski — z podwójną ujawniała się siłą w obcowaniu z Bronieckim, który, jak demon — kusiciel, wciskał się w ściślejsze życie niedobraonej pary, podszeptował Mimozie buntownicze myśli i podniecał wrodzoną jej zalotność. „Młodość ma swoje prawa“ — objaśnia sentencyjalnie, pełen doświadczenia i pobłażliwości p. Krzyżanowski — najbycieczniej jednak, gdyż młodość ta nie jeszcze takiego nie zbroiła, co by tylko jej prawami dało się usprawiedliwić. Kusiciel Broniecki doprowadził jednakże Mimozę do tego, chcąc, jak się wyrażał, usuwać wszelkie ciernie z jej drogi, że, nie licząc się z następstwami swych czynów, postanowiła zaciągnąć dług lichwiarski celem ratowania zagrożonego ruiną swego dawnego opiekuna, brata jej matki, — krytyczne położenie którego, jaknajmniej wzruszało pana radcę. Broniecki ułatwiał manipulacje wekslowe, a ponieważ było to w nieobecności radcy Radwana — nieomieszkał też skorzystać ze sposobności i za usunięcie ciernia z drogi Mimozy, pozwolił sobie wynurzyć się przed nią ze swych gorących uczuć. Powiada p. Krzyżanowski, że wyglądało to wspaniale — chętnie wierzymy doświadczonemu autorowi. Kiedy jednak doszło do największych wspaniałości i Broniecki upajającym jak najtkliwsza pieszczoła głosem, szeptał Mimozie czule słowa — Mimoza odsłoniła oczy, przeraźliwie krzyknęła i... ujrzała na progu swego małżonka. — „Litości!.. wołała Mimoza; jam niewinna, niewinna, niewinna!“ Nic to nie pomogło. Radca nie dawał się niczem przekonać... Podpisany weksel, prawie obejmujący jego żonę

gagatek i jego jaknajtkliwsza pieśczęta, głos — dostatecznie oskarżały Mimozę. Mimoza została brutalnie dotknięta, marniała, ginęła... Tutaj dopiero wchodzi p. Krzyżanowski w swój żywioł i zaczyna nam tłumaczyć zawily, fizyologiczny proces kurczenia się i stulania listków Mimozy.

Tu dopiero zaczyna na dobre zastanawiać się, jak i po co takie Mimozy — wrażliwe na każde ostrzejsze słowa lub spojrzenie — egzystują? skąd się biorą?.. i jak los wybiera je na ofiarę srogości swej i gniewu. Następnie po zadawalniającej odpowiedzi na te pytanie, w kilku śmiałych i trafnych zdaniach ujmuje zasady hodowli Mimozy, daje wskazówki pedagogiczne, uczy jak jak z nimi powinno się obchodzić... słowem bardzo pożytecznych rad udziela rodzajowi ludzkiemu Nareszeie, przypomniawszy temu nieopatrzonemu rodzajowi, że port małżeństwa, na podwodnych swych skałach nie jedno zdruzgotał życie — p. A Krzyżanowski druzgocze życie Mimozy i truje ją — aby potomność długo pamiętała o tem, że pielęgnowana ręką kochającą byłaby w bujny kwiat wyrosła, ujęta w dłoń żelazną, zmiażdżona została. I po tej wielkiej nauce, danej ludzkości, wzywa jeszcze na pomoc wszelkie rażące kontrasty, uwydatniające wielkość dokonanej zbrodni, chce zatrąć na wieki sumienie nasze poczuciem winy... niepopelnionej, lecz nie mniej na każdym ciężkiej, każe nam bowiem dręczyć siebie wyobrażeniem tego, jak to „wesole toasty weselne (p. radca po stracie Mimozy zawarł związku małżeńskie z mniej egzotyczną rośliną), biegły przez otwarte okna tam daleko... gdzie pod białym krzyżykiem, spała snem nieprzespanym — pospiesza dodać autor... Mimoza.“

Nie wytrwał więc p. Krzyżanowski w przebraniu dorosłego człowieka. Długo niem uciskany duch jego zaczął burzyć się i zrywać, aż zdroje ekliwego sentymentalizmu trysnęły obficie. Długo pouczał p. K. jaką to pociechą byłaby Mimoza dla całego świata, gdyby ją, według wskazówek autora, pielęgnowano, dużo rad zba-wiennych udzielił w tej mierze, dużo pytań palących sobie samemu zadał... i sam je wnet rozstrzygnął, słowem zachowywał się z podziwu godną powagą; nie wytrzymał jednak pod koniec i kamieniem młyńskim przywalił serce czytelnika. Niech ma za swoje! niech się przekona, że gdy umysłowość pensjonarska sformułuje, po wielu mozolach, taką np. doniosłą zasadę, że Mimoza to roślina tak wątpa, iż silniejsze wstrząśnienie, śmiercią przypłaca, to nie na darmo. Wielkich prawd nie wiele się wykrywa, trzeba więc z tej jednej ulubionej, którą wszystkim rówieśnikom wpisuje się do sztambuchów, uczynić coś olbrzymiego, trzeba na nią ściągnąć uwagę całego, zimnego świata, który patrzy obojętnie na tak rodzierające serce sceny, jak ta, gdzie jednocześnie słyhać wesole toasty weselne i widać biały krzyżyk, pod którym śpi, snem nieprzespanym... Mimoza. Kamień zruszyłby się z miejsca i zalałby się łzami wobec czegoś podobnego, a tu całe tłumy ludzi przechodzą codziennie, pod nosem takich okropności, i nie wiedzą nawet, że Mimoza to roślina wątpa i że silniejsze wstrząśnienie śmiercią przypłaca. Nie wiedzą! a poczwary! pokazać więc im tedy, jak to się dzieje, jak wyglądają Mimozy, jak kurczą listki i jak giną. Niech się raz przecie czegoś porządnego dowiedzą. A że do takich nauk najodpowiedniejszą jest powieść, „umysłowość“ nie waha się więc dłużej i na paruset — w najlepszym razie — stronicach rozwija pompatycznie jedną z tych swoich prawd, o której ludzie nie mają wyobrażenia chociaż ona należy do perełek sztambuchowej mądrości.

Tej chorobliwej chęci zainteresowywania szerszego ogółu do spraw swego wąskiego serca, temu niepowstrzymanemu pragnieniu, powierzenia, wszystkim świętym swych trosk nikłych i mizernych bólów, oraz gwałtownej potrzebie komunikowania zatechłych prawd, których wykryciem upajać się się tylko mogą na wpół dojrzałe umysły, zawdzięczać możemy mnożenie się u nas utworów beletrystycznych, podobnych do wyżej przedstawionych. Zamiast ścisłego badania złożonych zjawisk naszego zbiorowego istnienia, i odzwierciedlania pełni naszego życia — jeżeli takim ma być konieczne zadanie

powieści — zamiast gruntownych studyów nad charakterami, dają nam one pretensjonalne opisy spraw nie w życiu naszym nie znaczących, opisy, pozbawione kształtów i wypukłości, opatrzone patetyczną retoryką wiecznie deklamujących podlotków

Dzisiejszy stan beletrystyki naszej charakteryzuje się wtargnięciem na jej pola całych zastępów nowelko i obrazko-pisarzów, uprawiających lekki, szkicowy rodzaj. Wciągają oni do utworów swoich byle jaką treść, zatrzymują się przeważnie na samych obrazach, widokach życia — niekiedy nawet malowniczych i efektownych — nie docierając wcale do jego stron nie odsłoniętych. Największą ich ambicją jest możliwie wierne odtwarzanie tych obrazów i sumiennosc obserwacyi, spostrzegającej, bez wyboru, wszystko, co wchodzi w pole jej widzenia. Temu zawdzięczamy mnóstwo udoskonalonych aparatów fotograficznych, fotografujących wszystko z jednakością obojętnością, dokładnością i bezmyślnością. Bezidejowość, poświęcanie drobnym przygodom życia, więcej miejsca niż należy, zatrzymywanie się na poszczególnych stanach świadomości, wyjętych z całości życia psychicznego, wyolbrzymianie uczuć podrzędnych i przypisywanie im większej władzy, aniżeli mają w rzeczywistości, stwarzanie postaci sztucznych, anemicznych, ubogich w treść wewnętrzną, wszystko to charakteryzuje większość dzisiejszych utworów beletrystycznych.

W „rachunkach“ naszych będziemy mieli sposobność nie jedną ich jeszcze właściwość uwydatnić.

W. Jabłonowski.

BEZ OBŁUDY.

Odrobina bezwstydu, czyli o Eusapii po raz drugi. — Moje wnioski ostateczne, a przynajmniej przedostatnie. — Logika położenia towarzyskiego i cyces. — Najbliższe przeobrażenia pachtu. — Odpowiedź Tygodnikowi Ilustrowanemu.

„Odkąd zniknęła, uwożąc banknoty, wzrosły niesnaski nasze i zgryzoty i nie wiem czyli wśród ziemskich popiołów, bywał obfitszym kiedy głupstwa połów... Zdawkowa mądrość jednych, jak kaskada, strumieniem w łamach gazetarskich spada, a wnosząc z innych słów i pism, któż powie, jak się w niej jednej przewróciło głowie?... Klóci się, swarzy, zindyczona rzesza, nie nie ukoi jej i nie nie zmiesza, i tylko czasem jakie białe jagnię idzie w zamglone nowych prawd doliny, by medyumiczne skubać oziminy, lub jakie technik, co sławy zapragnie, aby się sprytem pochwalić umyślnie, krzyknie: „to włoski!“ i szpilką zabłyśnie...“

Do przedmowy rymowanej zmusiło mnie poczucie dziennikarskiej przyzwoitości. Przypuszczam, że tym z moich czytelników, w których rodzinie nie ma ani jednego medyum. t. j. którzy „tą sprawą“ nie są zainteresowani bliżej, należy podawać *eusapizm* w postaci choć trochę urozmaiconej, Zresztą odrobinę każdemu wolno być, bezwstydnym: niektórzy mówili już o „wydymaniu“ i „dotykaniu“ po IX razy, albo po razie w IV lub V pismach; ja mogę więc odważyć się na II, nie obiecując nawet gwałtownej poprawy w przyszłości.

Uruchomienie armii dziennikarskiej, walczącej pod znakiem Reichmana lub Ochorowicza, nigdy nie było tak zupełnem, jak dzisiaj. Jedni oręż swój zawiesili „na włosku“; stał się on mieczem Damoklesa dla drugich, którzy pod jego groźbą dolożą wszelkich wysiłków, aby John King mógł w końcu oddać na pohąbienie wszystkie wynalazki p. Reichmana. Zapasy tak bardzo się rozogniły i rozszerzyły, że po obu stronach w roli partyzantów, potykających się na własną rękę, występuje prawie cała generalicya „drukowanego słowa“ i właściciele wszelkich przedsiębiorstw piśmienniczych: *Israelita i Rola Przegląd Katolicki i Tygodniowy*, wszystkie gazety i knyry, pisma ilustrowane, Prus, Świętochowski, Siemiradzki... *ajudate!* bo nie spamiętam — wszystko to i wszyscy albo pakują już tłumoczek na drogę do czwartego wymiaru, albo rozpakowują biedne sakwy t. zw. „wiedzy po-

zytywnej“, szukając w nich „koleców“, „włosków“, „deseczek“, „rozprutych trzewików“ i t. p. rzeczy, któremi można byłoby naśladować Johna.

Z dotychczasowych sporów cudzych, spostrzeżeń i rozmyślań własnych zdobyłem dwie niezbite, jak sądzę, prawdy przedmiotowe: 1. Realność zjawisk medyumicznych. 2. Sporadyczność kuglarstwa Eusapii. Zdaje się, że dwie te realności we wszystkich medjach Europy i Ameryki kojarzą się w całość mniej lub więcej harmonijną. Gibier, o ile wiem, nie był jedynym, który zwrócił uwagę na pewne przywary medyków, Histeryczność wielu, jeżeli nie wszystkich tych pośredników i pośredniczek pomiędzy ludźmi a duchami, usposabia również do przypuszczenia w nich bezwiednej albo świadomej namiętności wprowadzania w błąd, istnej manii kuglarstwa. Nakoniec, poczciwa słabość natury ludzkiej, chęć utrzymania się na raz zdobytym stanowisku, pogląd, że dopomaganie prawdzie nie jest jeszcze szalbierstwem znowu przygotowują nas do przyjęcia tejże hipotezy kuglarstwa, jako środka czasem pomocniczego, czasem zaś jedynego. Obok tych powodów ogólnych, w sprawie Eusapii zbyt wiele jest poszlak, zbyt wiele świadectw niezależnych, spostrzeżeń robionych osobno, a wzajemnie się popierających, aby wolno było oddawać się nieograniczonemu optymizmowi. Zestawmy tylko zauważone przez p. Reichmana „nakręcanie maszynki“ za kotarą, z podaniem przez p. Harusewicza przesunięciem czegoś *jakby po nierównej podłodze* — dodajmy do tego chwilowe, ale niezwykle silne *przerazenie* Eusapii po owym dźwięku, przypomnijmy wyczuwanie zabloconych bucików przez jednych, lub w ogóle przez innych, a opór fanatyków medyumizmu przedstawi się nam w świetle właściwym.

Ważniejszą jednak byłoby rzeczą przedstawić w należytem oświetleniu npór konserwatystów pozytywizmu. Kuglarstwo medyków, pomimo wszelkich a wszelkich pozorów złego, najczęściej nie bywa tem, za co jest uważanem. Ale dla zrozumienia tego potrzeba lepiej poznać piśmiennictwo przedmiotu i przyrodę zjawisk. Okazuje się, że zachowawczość wszędzie i zawsze jest jednaką — bez względu na przedmiot zachowywany. Dogmat przeczenia nie gorzej wrasta w tkanki mózgu, wżera się w serca swych wyznawców, nie mniej ubezwładnia ich logikę, aniżeli najbardziej zapleśniałe i zakorzenione przesady.

U nas, jak słusznie zauważył jeden ze znajomych mi neofitów, wyznawcami i obrońcami najzarliwsiymi owego dogmatu są żydzi. Tak samo jak niedawno słynny Benedict napadł na opisane przez Kraft-Ebinga doświadczenia hipnotyczne, pomimo, że napaść taka wobec zgromadzonych już dawniej i w piśmiennictwie przekazanych dowodów, była skandalem, tak u nas w opozycji antymedyumicznej najwcześniej i najwyraźniej rozległy się głosy Herzów i Reichmanów, z wtórującą im (z tłumikiem) melodią Konitzów, Heryngów i innych. Nakoniec, najlepszym może, chociaż tylko pośrednim dowodem powinowactwa przeczącego dogmatyzmu z semityzmem jest to, że w obrobie jego najdoniośniej odezwała się *Prawda*, która w sposób o wiele rzetelniejszy i konsekwentny wyraża u nas poglądy cywilizowanego żydostwa, niż to czyni cheder *Israelity*.

W doświadczeniach z Eusapią nie tylko każdy z uczestników widział choć jeden objaw, którego wytłumaczyć „nie umie“, ale mówiąc bez blagi, każdy prawie musiałby wyznać, iż nie sądzi, aby ktokolwiek niektóre z tych zjawisk, w danych warunkach, mógł objaśnić kuglarstwem. W braku własnej znajomości prestidigatorstwa każdemu przybędzie z pomocą zdanie sztukmistrza fachowego: dla Eusapii zdanie p. Rybki, dla Slade'a — Blanchiniego, dla Home'a — Handin'a i t. d.

Ale dla żydów wyrzeczenie się, renegacya są niejako wkupem do przybytku kultury. Tę daninę niedowiarstwa spłacać oni muszą w ratchach większych i w sposób mniej organiczny, aniżeli wyznawcy wiary panujących. Lekarz, adwokat, inżynier, chodzący do kościoła, noszący medalik lub krzyżyk nie są rzadkością, ale żydowski doktor, mecenas, zdolny technik, albo dzielny przyrodnik, ubran ipod kamizelką w *cyces*. „Jeżeli jedynym narządem myślenia są komórki mózgowe, jeżeli szybkość ciała spadającego nie zechce rosnąć jak szereg cyfr nieparzystych, to... może ja potrzebuję włożyć *tales* i nie chodzić

do prezesostwa, gdzie jedzą mięso z tem głupim masłem... Nie jest to zapewne logika rozumu czystego, ale sylogizm społecznego i towarzyskiego położenia, rozumowanie pewnej przemijającej sytuacji dziejowej. Jest to zresztą tylko samozachowawczy odruch odstępców, którym zbyt sztucznie i zanadto brutalnie odjęto znaną kulturę dawną. Rozwaga wskazała by tu raczej wspólny grunt kulturalnego porozumienia; to też z chwilą, gdy rozwaga ta nadejdzie po pierwszym przestraszeniu, medycyzm na pewno wziętym zostanie w pacht, jak tyle innych kierunków.

Pomimo niewyczerpanego jeszcze tematu Europy, kronikarz *Tygodnika Ilustrowanego* obrął sobie za przedmiot rozpraw swoją ocenę dwu naszych głównych typów dziennikarzy. Z uprzejmością człowieka dobrze wychowanego, który przypadkiem znalazł się w obec istot głupich, tłumaczy on niewtajemniczonym, że każda redakcja musi mieć ludzi młodych do sprawozdań o pożarach, ale za to rzeczy poważniejsze powierza specjalistom. Żałuję, że w „Sprawozdaniach”, które krytykowałem, nie było właśnie wzmianki o działalności straży ogniowej, oraz że twórcą wielu bardzo referatów o naszych instytucjach poważniejszych był natomiast sprawozdawca tej kwestii „palącej”, w znaczeniu najdosłowniejszym. Referatowym nie zresztą nie zarzucałem w szczególności, a pisząc o typach nie miałem na myśli ich autora.

Maryan Bohusz.

GŁOSY.

Szkoły w Warszawie.—Nowa szlachta.—Mali koncertanci.—Nadużycia.—Dokładność informacji.—Z teatru.

(—) Miesięcznik „Ruskaja szkoła” pomieścił ciekawą pracę p. N. Byczkowa pod tytułem „Rezultaty zapisów dzieci do szkółek miejskich w Moskwie, Warszawie i Odesie”. Dowiadujemy się z tej pracy, że kiedy w Moskwie jest szkół miejskich 83, w Odesie 50, Warszawa ma ich tylko 43, a w tem 10 żydowskich chederów. Stosownie do tego, uczniów liczy też Warszawa najmniej, bo tylko 2,646, a w stosunku procentowym do liczby ludności wypada 5 uczniów na 1,000 mieszkańców. Wydatki na szkoły miejskie w Warszawie wynoszą 52,000 rs. Stosunek uczniów do uczenia w Warszawie jest prawie równy. Względnie do pochodzenia, największy procent przedstawiają dzieci mieszczan 76.9 oraz włościan 13.1, podczas gdy inne stany mają bardzo nieznaczne odsetki. Rozwój umysłowy wstępujących kandydatów w Warszawie jest wyższy, niż w Moskwie i Odesie. Na stu kandydatów analfabetów jest 23.1%, umiejących czytać 24%, umiejących czytać i pisać 52.9%. To dowodzi, że większa część dzieci wstępujących w Warszawie do szkółek miejskich, otrzymuje pierwsze nauki w domu. Co do wyznania analfabetów, żydów było 34%, chrześcijan tylko 15%. Przeciętny wiek wstępujących wynosi 9 — 10 lat. Według obliczeń p. Byczkowa, chcąc dać wszystkim dzieciom możliwość korzystania z nauki, potrzeboby w Warszawie otworzyć jeszcze 39 szkółek miejskich.

(I) *Gazeta rolnicza*, przytaczając w streszczeniu podaną w *Głosie* wiadomość o nabytciu przez dwóch znanych lichwiarzy warszawskich majątków ziemskich, powtarza nadane im przez nas epitety „jeden z najpoważniejszych kapitalistów”, „znany finansista”, ale bynajmniej nie zaznacza, że epitety te były użyte w znaczeniu ironicznym.

W dalszym ciągu *Gazeta* tak pisze:

„Jeżeli przypomniemy jeszcze niedawne nabytki Izraela: Czermno w powiecie Tomaszowskim (Haber), Kąty w powiecie Zamojskim (Günsberg), Chocz w powiecie Kaliskim (Boruch), Włoszyce w powiecie Nieszawskim (Marsop i Warciński), to przyznać musimy, że kraj tutejszy w kierunku wywłaszczenia szlachty przez żydów podąża szybko za Galicyą”.

(—) Bardzo niedawno pisaliśmy na tem miejscu o 50 letnim jubileuszu pracy dziekana Jerzego Aleksandrowicza; obecnie wypada nam zaznaczyć zgon byłego jubilata. Przed kilku dniami duża gromada uczniów i towarzyszy zmarłego, uczciwszy pamięć jego mnóstwem wieńców, odprowadziła zwłoki na cmentarz. Całe zastępy młodszych, starszych a nawet osiwiałych pracowników naukowych, społecznych i literackich, którzy w dalszej lub bliższej przeszłości słuchali wykładów jego — w gimnazjum, w uniwersytecie, a ostatnio w szkole ogrodniczej — świadczyły o pożytku długoletnich trudów nieboszczyka. Działalność obywatelska, właściwa ludziom podeszłym, lecz nie usuwającym się jeszcze z widowni życia, jednała mu licznych przyjaciół w sferze pracy praktycznej. Osobiste przymioty i niezrównana słodycz a jowialność obejścia wytwarzała zawsze dokoła niego atmosferę szczerego przywiązania i miłości.

(H—i) Na koncert cudownych dzieci idziemy zwykle z pewną niechęcią, bo jeżeli nie spotka nas zawód artystyczny, to wygląd fizyczny owych dzieci, bodaj czy nie przykrzejsze sprawia na słuchacza wrażenie, niż dzieci akrobatów. W tym względzie oczekiwanie nie zawiodło nas, gdyż młode pokolenie Cellezyusów nie odznacza się zdrowym wyglądem. Lecz nie za to mamy pretensję do pana Ottona Cellezyusza, bo wygląd może pochodzić z wrodzonej organizacji, nie wiemy więc czy p. P. C. pozbawił swoje dzieci zdrowia, ale nie ulega wątpliwości, że pozbawił sztukę artystów, szczególnie w osobie małej Tekli, artystki niepośledniej wartości. Dziecko to, niemające dostatecznie rozwiniętej siły fizycznej, musi bezwarunkowo, wskutek nadmiernego wysiłku mięśni, wskutek czego tonu pięknego, wyraźnej i dokładnej techniki już nigdy nie nabędzie, jakkolwiek już dziś pod tym względem ani trochę nie stoi od znanego wiollonczelisty, który według niektórych tutejszych krytyków ma uszczęśliwiać warszawiaków, chcących korzystać z jego pedagogicznych zdolności. A szkoda, bo przy jej zdolnościach mogłaby kiedyś zabłysnąć na horyzoncie sztuki.

Co zaś do jej braci, ten widocznie stara się prześcignąć siostrę siłą tonu i dla tego z pod jego smyczka wyrwywają się nuty rypiące, ale chłopiec nie jest jeszcze straconym dla sztuki i nie wątpimy, że stanie się głośnym, jeżeli będzie pod dobrem kierownictwem. Musimy, też oddać sprawiedliwość i panu Cellezyusowi, że mając tak słabe siły potrafił kwartetową arję doprowadzić do wielkiej doskonałości. Jego prowadzenie głównego tematu, śpiewu i przenoszenie tego z instrumentu na instrument, jego „ninanse” — nie do życzenia nie pozostawiają i pomimo słabego tonu, jaki cechuje grę dzieci, a do którego bezwarunkowo muszą się stosować dwa inne instrumenty, jego „fortime” robi wrażenie rzeczywistego.

(n) W numerze 5-ym *Kur. Warszaw.*, pomieszczony był list p. Maryi Chawowej, donoszący o czynie oburzającym, jakiego się dopuścił p. F. Car, właściciel magazynu i pracowni okryć przy ul. Marszałkowskiej, względem jej córki, pracującej w firmie tego „pracodawcy”. P. Car mianowicie za niewielkie opóźnienie przyjął swoją podwładną gradem obelżywych wyrazów i nadto czynnie ją znieważał. Za czyn ten, spełniony w obecności kilku koleżanek żelźonej, p. Car pociągnięty będzie do odpowiedzialności sądowej, a kara, jaką prawdopodobnie z wyroku sądowego poniesie, odczy, być może, i innych p. Carów od takiego traktowania podwładnych.

Jeżeli chodzi o nadużycia, nigdy ich nie brak, oto np. *Kur. Codzienny* bardzo właściwie przypomina powszechnie praktykowany zwyczaj rewidowania robotników przy wyjściu z fabryki, któremu podlegają również i robotnice, i zupełnie słusznie oburza się z tego powodu, iż rewizyj takich dokonywa odzwierny fabryczny, co już ze względów przyzwoitości powinno stanowczo być usuniętem. „W zakładach łódzkich”, jak *Kur. Codz.* twierdzi, „już oddawna pomyślano o używaniu na ten cel kobiet, w Warszawie jednakże przeważna liczba pracodawców nie zdobyła się jeszcze na zmianę rutyny”. Otóż — dodajmy od siebie — że i w Ło-

dzi zwyczaj ten nie upowszechnił się jeszcze w zupełności. W ogóle zaś samowolne rewidowanie jest etycznie i prawnie nieusprawiedliwionem, będąc do pewnego stopnia nadużyciem, czego już „Kuryer Codzienny” zrozumieć nie może. A jednak jakżeby się gorąco obruszył, gdyby zarządy wszelkich instytucyj prywatnych, względem swych urzędników zaczęły stosować ten zwyczaj rewidowania przy wyjściu z biura. Chcąc być konsekwentnym, należałoby we wszelkich biurach kontrolę taką zalecać, a wtedy rzeczywiście okazałoby się, że „drobna kradzież” pomiędzy pracownikami biurowymi równie, a może i bardziej, jest rozpowszechniona, aniżeli wśród pracowników fabrycznych i warsztatowych. A jeżeli wynoszenie potajemnie materiałów piśmiennych itp. nie jest uważane za czyn niemoralny i nie jest karane, na jakiej zasadzie surowość prawna ma być stosowana względem analogicznych zupełnie objawów...

(n) Niedbalstwo prasy naszej pod względem dokładności informacji niejednokrotnie już wytykaliśmy na tem miejscu, świeżo mamy znowu do zanotowania parę „bąków”, strzelonych dzięki brakowi u naszych dziennikarzy nie tylko sumiennoci fachowej, ale również często i karygodnemu nieuctwu.

„Kronika rodzinna” w № 1, powtarzając za innymi pismami wiadomość o udaniu się Dybowskiego w czwartą z rzędu podróż do Afryki, daje mu imię Benedykta, tymczasem Benedykt Dybowski, profesor uniwersytetu lwowskiego, nigdy po Afryce nie podróżował, „Kronika rodzinna” zaś powinna wiedzieć, że badaczem Afryki jest Jan Dybowski, profesor instytutu agronomicznego we Francji.

Parę tygodni temu „Kuryer Warszawski”, zamieszczając jakąś wiadomość, kończy ją temi słowami: „na wzór biura porady technicznej, jakie istnieje przy redakcyi „Inżynierii i Budownictwa”. Dziennik, cieszący się u nas największą poczytnością, zdaje się niewiedzieć o tem, że „Inżynieria i Budownictwo” już od kilku lat nie wychodzi, przeto i o biurze tem obecnie mowy być nie może.

Mniej więcej jednocześnie z tem „Kuryer Codzienny”, we wzmiance o kryzysie węglowym na południu Rosyi, pomieszcza szereg takich: „zakłady metalurgiczne w Kamieńsku nad Donem”, a za nim prawie wszystkie pisma, między innymi także i „Prawda” błędnie tę informację powtórzyły. Dla wiadomości więc prasy naszej objaśniamy, o czem powinna by wiedzieć, że osady fabrycznej Kamieńska nad Donem niema, jest za to sioło Kamieńskie ale nad Dnieprem.

Wreszcie *Kraj*, zawsze „dobrze poinformowany”, niedawno zmarłego heglistę, profesora niemieckiego Micheleta utożsamia ze znanym historykiem francuskim tegoż nazwiska, który umarł w r. 1874, mówi bowiem, że był towarzyszem Quineta i Mickiewicza.

Takie i tym podobne błędy zdarzają się w pismach naszych tak często, że skrzętnie notowanie ich staje się konieczną potrzebą a nawet obowiązkiem dziennikarskim.

(—) Gdyby nie cieszące się zasłużonem uznaniem imię autora, to o „Bajkach” M. Bałuckiego — świeżo wystawionych w teatrze „Rozmaitości” — krytyka odbywałaby się z mniejszymi względami, a publiczność zachowywała się z mniejszą życzliwością. Dawne zasługi utalentowanego komedyopisarza trzymają wszacchu krytykę, publiczność zaś, ulegając wspomnieniom, nie chce uchybiać temu, kto ją tyle razy szczerze rozweselał i zachwycał swoim humorem. W każdym jednak razie, tak krytyka fachowa, jak i krytyka ogółu, muszą, w głębi ducha wyznać sobie, że Bałucki, zawiódł pokładane w nim nadzieje. W istocie, w „Bajkach” trudno odszukać autora: „Radeów pana Radey”, „Grubych Ryb”, „Domu Otwartego” i t. p. pełnych werwy komicznej i trafnej charakterystyki pewnych sfer towarzyskich, utworów scenicznych. Chciał Bałucki w „Bajkach” wprowadzić do treści lekkiej, uciесznej, trochę więcej pierwiastku dramatycznego, niż to zwykły był czynić — lecz jedno z drugim tak jakoś poplątał niezgrabnie, tak poplątał, że całość na tem ucierpiała bardzo. Obmowa bliźnich — plotki, stanowią przedmiot sztuki. Nie są to jednak zwykłe „bajki”, niewin-

ne plotki ukuwane na partykularzu, dla braku poważniejszych zajęć, które chociaż ranią dobre imię bliźniego, nie mają w sobie nic kryminalnego, nie grożą nikomu zburzeniem szczęścia rodzinnego, ruiną finansową lub czemś podobnym.

Z pospolitych „bajek“ chciał właśnie Bałucki zrobić coś takiego, co poważniej odbić się może na życiu ludzkim, i co ma wnieść dramatyczne zamieszanie i wstrząsnąć nie jednym istnieniem; „Bajki“ Bałuckiego zapowiadają się w skutkach swych groźnie, mają dużo złego ludziom wyrządzić — nie wyrządzają jednak i dają powód do banalnie komicznego rozwiązania wywołanych przez nie komplikacji.

W tem właśnie tkwił główny błąd sztuki, na tem polega niewłaściwość połączenia pierwiastków dramatycznych z pospolicie komicznymi. Dysproporcya przytem w ich połączeniu jest zanadto wielką. Prócz tego rozwiązanie intrygi jest tak szablonowe, a przeprowadzenie tak niezręczne, że wszystko z góry daje się, bez wielkiego wysiłku przewidzieć i odgadnąć; strona więc dramatyczna nie wzrusza, komiczna — nie bawi.

Patentowana intrygantka i plotkarka Wściubińska, jest głównym motorem całej sztuki. Pełnemi garściami rozrzuca ona dokoła siebie plotki i szerzy fałszywe wieści. Naprzód puszcza mylną pogłoskę o bankructwie bardzo naiwnego zresztą, jak na finansistę, któremu się powodzi, bankiera Morwy.

Następnie oczernia w obec pp. Klonowskich rodziców Teci, jej narzeczonego Karola Pędzińskiego. Wreszcie zniesławia żonę poczciwca Siechalskiego, dowodząc wszystkim, że syn, którego mu żona powiła, z czego stary się cieszy, jest owocem romansów p. Siechalskiej z kim innym. Morwa rozpacza — najpoważniejsi bowiem klienci tracą wiarę i wycofują swoje kapitały; prócz tego, własna żona, podejrzewając go o stosunki z p. Siechalską, zaczyna mu wyprawiać sceny. Klonowscy nie pozwalają wychodzić Teci za mąż za pana Karola, Grubalski zaś wyprawia na wszystkie strony awantury, podejrzewając niewinnych o rzucenie potwarzy na jego żonę.

Zanosi się zewsząd na poważną burzę: Grubalski boleje nad rozbitem szczęściem ogniska domowego, Morwa widzi się nad brzegiem przepaści i ogłasza swoją upadłość, nie mogąc spłacić wszystkich klientów.

Tymczasem szczęśliwe rozwiązanie powiła, odwraca od wszystkich wiszące niebezpieczeństwo, godzi zwaśnionych i podrażnionych, zaprowadza wszędzie ład, po zbyt wielkim zwichrzeniu.

W 4-ym akcie intrygi Wściubińskiej wychodzą na jaw: Morwa nie zbankrutował, ale przeciwnie, zrobił milionową fortunę. Grubalski odkrył wynowajczynię plotki, rzuconej na jego żonę i wypadek, który dał do tego powód; żona Morwy przekonała się o jego niewinności, a rodzice Teci o niewinności jej narzeczonego.

Nakoniec autorka wszystkich intryg i plotek zdemaskowaną została ostatecznie wtedy, kiedy liczyła najwięcej na tryumf swej intrygi.

Siostrzeniec jej, Kręcicki, miał schadzki z nauczycielką Teci romansową Matyldą. Wściubińska sądząc, że to narzeczony Teci grucha z jej nauczycielką w altanie, zamyka ich tam na klucz, a sama zwoluje wszystkich, ażeby naoznę się przekonali o słuszności tego, co mówiła. Wszczyta się na scenie rwetes, wszyscy krzyczą; światła, więcej światła i pod wodzą Wściubińskiej lecą łapać na gorącym uczynku delikwenta. Łatwo sobie wyobrazić efekt podobnie komicznego epizodu. Chociaż niebył wyszukany, z pewnością z całej sztuki jest najbardziej humorystycznym.

Wystrzegając się z zasady wydawania patentów na dobre lub złe granie, powstrzymujemy się i teraz od stanowczych sądów. Zdaje się nam jednak, że główna rola Wściubińskiej w nieszczególnie dostała się ręce. Panna Horwathówna pomimo najszczerzych chęci, nie potrafiła wydołać ciężkiemu zadaniu. Panna Bogusławska tylko zbyt przesadnie odtwarzała romansową Matyldę (szczególniej przeobraziła krzyczącą), a p. Roland niepotrzebnie zrobił z siebie eleganckiego fryzjera.

W Janowski.

Z KRAJU.

Likwidacya i parcelacya majątków ziemskich.—Spółznoiony projekt.—Trudne położenie Słowa.

Jeszcze przed pięciu laty, mówiąc o warunkach działalności Banku włościańskiego, zwracaliśmy kilkakrotnie uwagę na potrzebę założenia instytucji pośredniczącej, która mogła nabywać na własne ryzyko majątki wystawione na sprzedaż i wogóle nadające się do likwidacji. Czynności tych bowiem Bank załatwiać nie może, mając określony ściśle cel i sferę działania. Co roku sporo majątków przechodzi na licytacyach w ręce spekulantów za bezcen. Rozmaite formalności, które trzeba załatwić, chcąc uzyskać pożyczkę bankową, wymagają dosyć długiego przeciągu czasu, ci więc tylko właściciele majątków, którzy ze sprzedażą czekać mogą, wchodzi w układy z włościanami. Z tego zaś wynika, że włościanie płacą za ziemię drożej, niżby za nią płacić mogli. Dla Banku włościańskiego nie jest to pożądanem, bo 1) ogranicza zakres jego operacji 2) zmniejsza gwarancye wypłatności dłużników.

Zdarza się często, że spekulant, nabywszy tanio majątek na licytacji, sprzedaje go potem chłopom znacznie drożej. *Warszawskij Dniownik* przytacza ciekawy przykład takiego geszefu. Wierzyciel hipoteczny kupił majątek obszarny 600 morgów za 30,000 rs. i po trzech latach sprzedał włościanom ziemię przy pomocy Banku za tę samą cenę, a oprócz tego za las, inwentarz żywy i martwy, bunowle, siano, słomę itd. otrzymał około 20,000 rs. Niedawno *Gazeta lubelska* doniosła, że majątek Kąty (4800 morg.), kupiła spółka żydowska za 120,000 rs. czyli po 25 rs. za morg, teraz zaś nowonabywcy sprzedają częściowo ziemię mieszczanom z Fram-pola po 130 rs. za morg, czyli 5 razy drożej!

Zaznaczyłem już nieraz, że t. zw. dewastacya majątku, ogromnie obniżająca jego cenę dla zwyczajnych nabywców, dla włościan, którzy chcą ziemię rozparcelować, nie ma prawie żadnego znaczenia. Bo i tak zniszczą oni budo-wle, wytną las, zmienią cały system gospodarki polnej. A takie majątki można kupować za bezcen byle tylko były pieniądze. Zanim jednak Bank pożyczkę wyda, Towarzystwo kredytowe lub wierzyciele majątek sprzedadzą.

Jak wykazał niedawno p. A. Kłobukowski, liczba majątków, sprzedawanych przez Towarzystwo kredytowe ziemskie za zaległe raty, ciągle wzrasta. Od początku istnienia Towarzystwa do 1870 roku a więc w ciągu 45 lat sprzedano przez licytację zaledwie 486 majątków, z których jeden tylko dla braku kupców przeszedł na własność instytucji. Od 1870 do 1888 roku sprzedano 228 majątków, z których już 10 Towarzystwu przysądcono. Wreszcie od 1888 do 1893 roku czyli w ciągu 5 lat wystawiono na licytację 632 majątki, z których tylko 165 sprzedano w pierwszym terminie, kiedy licytacya zaczynała się od szacunku taksowego. Reszta, t. j. 467, nie znalazłszy nabywców za szacunek taksowy, była wystawiona na powtórny licytację, a i wtedy 50 majątków nikt, nawet za pożyczkę Towarzystwa, kupić nie chciał. Niektóre z majątków, należących do tej kategorii, posiadają, jak to dawnej wykazywaliśmy, dobre grunta, za które włościanie chętnie dwa razy tyle by zapłacili, ile pożyczka wynosi i jeszcze byłiby z tranzakcyi zadowoleni.

Jak wiadomo, poważne osoby u nas ciężko i długo myślą, dla tego może nawet nazywają takich ludzi poważnymi. Niedawno dopiero w sekcji rolnej Warsz. Tow. popierania ruskiego przem. i handlu poruszano projekt założenia instytucji czy też przedsiębiorstwa, które by zajmowało się likwidacyą majątków ziemskich i pośredniczeniem między Bankiem i nabywcami z jednej a sprzedawcami z drugiej strony. Dopiero przykład Banku ziemskiego w Poznaniu przekonał naszych radców od spraw rolnictwa i własności ziemskiej, że tego rodzaju działal-

ność jest pożyteczną, a w dodatku nieźle się opłaca. Chociaż i teraz, zdaje się, panowie ci nie rozumieją, że taka instytucya powinna dbać przede wszystkim nie o ułatwienie likwidacyi upadającej własności większej, ale o interesy nabywców parcel i Bankowi ziemskiemu chciało nadać taki ratunkowy charakter, ale prędko z tej błędnej drogi zawrócił na tor właściwy.

Ma się rozumieć ludziom, którzy długo myśla, dobre myśli za późno do głowy przychodzą. Czyż zresztą przyszły już teraz? A gdyby nawet pomyślano o otworzeniu podobnego przedsiębiorstwa działalności jego byłoby spóźnioną, w znacznej już mierze niepotrzebną. Bank włościański, którego ustawa ma uleż gruntownym zmianom, otrzyma prawdopodobnie prawo kupowania na licytacji majątków na własną rękę i odsprzedawania ich następnie włościanom. Wiadomość o tem czytaliśmy już w kilku pi-smach ruskich a *Warszawskij Dniownik* energicznie sprawę tę popiera, zupełnie słusznie twierdząc, że nie może być o jakiejś stracie dla Banku przy umiejętnem prowadzeniu interesu. „Działalność Banku włościańskiego, w kraju tutejszym, czytamy w *Dniowniku*, dała rezultaty o wiele mniej zadawalniające, niż się spodziewać należało. Zamożniejsi nabywcy z poś-ród włościan wolą nieraz kupować grunta od większych właścicieli bez pomocy Banku, a powodzenie tej instytucji utrudnił dosyć wysoka procent od pożyczek, szczególnie zaś liczne formalności, których załatwienie zbyt wiele kosztuje. Oprócz tych głównych przyczyn były inne, zwłaszcza wysoka cena gruntów, nabywanych przez włościan z pożyczką bankową.” Okoliczność ta zasługuje, zdaniem *Dniownika* na szczególną uwagę, bo na licytacyach ceny ziemi są bardzo niskie. Niejednokrotnie pisaliśmy o warunkach działalności Banku włościańskiego, wykazując to samo, co obecnie na w pół urzęd-ownie stwierdzonem zostało.

Jeżeli Bank włościański otrzyma prawo nabywania majątków ziemskich na licytacji na własne ryzyko, racya bytu instytucji pośredniczącej upada lub przynajmniej zostaje mocno zachwiana. Zadaniem jej byłoby bowiem tylko pośredniczenie przy dobrowolnej likwidacyi majątków. Jest to zapewne zadanie dosyć ważne i pożyteczne, ale jeżeli Bank rozwinie zakres swej działalności, kupuje majątki na licytacyach i tanio odprzedając je włościanom, to zakres likwidacyi dobrowolnej bardzo będzie ograniczony. Wreszcie z natury rzeczy pośredniczenie przy likwidacyi nie może i nie powinno być operacyą zyskową, nie jest więc dla instytucji finansowej a właściwie przedsiębiorstwa—korzystną, nie daje mu mocnego punktu oparcia, jakim byłoby nabywanie i odsprzedawanie licytowanie majątków, zapewniające nieźle zyski.

Pan A. Kłobukowski, który należy to zaznaczyć, oddawna już o konieczności likwidacyi obdłużonych majątków ziemskich mówił i pisał, twierdzi że na założenie instytucji pośredniczącej znalazłoby się kapitału i władza nie odmówiła by sankcyi takiemu przedsiębiorstwu. Ale i p. Kłobukowski sądzi, że tego rodzaju instytucya, oprócz likwidacyi, zajmować się powinna nabywaniem i parcelacyą majątków zniszczonych, których częściowo nawet ocalić nie można. Jeżeli jednak Bank włościański sam majątki nabywać zacznie, o czem projektodawcy jakby zapominają, działalność instytucji współzawodniczącej stanie się niemożliwą i o zatwierdzeniu jej mowy nawet być nie może.

Ponieważ likwidacya w wielu wypadkach jest sprawą, nie cierpiącą zwłoki, p. Kłobukowski radzi dokonywanie jej drogą samopomocy i solidarności obywatelskiej. Czasem istotnie w ten sposób likwidacya się odbywa, nawet z dobrym skutkiem, ale jest więcej niż wątpliwem czy sposób ten może być w szerszym zakresie kapitału. Do przeprowadzenia likwidacyi całkowitej lub częściowej potrzeba za wsze sporego kapitału, którego zwykle nie mają najzyczliwsi sąsiedzi i najporządniejsi obywatele, nie potrafią więc wytargować ustępstw od wierzycieli lichwiarzy chociażby, hipotecznie źle zabezpieczonych.

— Zapewne z tego powodu, że około Nowego Roku kupcy wykupują patenty na prawo handlu, znajdujemy w pismach sporo wiadomości o nowo powstających sklepach chrześcijańskich po wsiach i miasteczkach. Z każdym rokiem ruch ten się rozszerza, nie należy jednak sądzić, że doszedł już do granic pożądaných, że popieranie gorliwe może wytworzyć nadmiar sklepów chrześcijańskich, konkurencję między nimi i t. p. Są jeszcze w kraju naszym miasta dosyć znaczne, są całe okolice, w których sklepów chrześcijańskich nie ma. Oto np. w takim Szydłowcu gubernii Radomskiej mieszka około 2000 chrześcijan, drugie tyle liczyć można robotników, pracujących w kopalniach kamienia, fabrykach i innych zakładach przemysłowych w pobliskiej okolicy—a sklepu chrześcijańskiego w mieście nie ma, chociaż był kiedyś i wiodło mu się dobrze, ale wskutek śmierci właściciela został zlikwidowany. Mieszczanie szydłowieccy probowali kilkakrotnie zakładać sklepy, ale nie szło im gładko, bo nie mieli ani znajomości handlu, ani kapitału i nabywali towary u żydów miejscowych. Obecnie lekarz w Szydłowcu stara się o założenie sklepu spółkowego. Jest to w wielu wypadkach najlepsza, najbardziej pożądana kombinacja. Sklepy spółkowe, czy to na zasadzie zwyczajnych spółek handlowych, czy też na wzór stowarzyszeń spożywczych, jak np. sklep w Wyszogrodzie, urządzone, istnieją w kilkunastu miejscowościach i powodzi im się niezgorzej. Takie sklepy spółkowe powstawać wszędzie powinny, gdzie dotychczas sklepów chrześcijańskich nie ma, albo też i obok istniejących, jeżeli warunki miejscowe są po temu. Jest to zwłaszcza najodpowiedniejsza forma dla sklepów specjalnych. W wielu miasteczkach rzemieślnicy muszą nabywać towar od przekupniów, płacąc słone ceny, tymczasem zbiorowemi siłami łatwo mogliby założyć sklep z potrzebnym im towarem. Stoi temu na przeszkodzie rutyna, silnie wśród mieszczan-rzemieślników zakorzeniona, ale przy dobrej woli można ich przekonać i do solidarnego działania nakłonić, jak świadczą o tem nieliczne wprawdzie, ale wymowne przykłady.

— *Gazeta lubelska* wydrukowała niedawno wiadomość, że służba dworska w dobrach koźłowieckich (własność hr. Zamojskiego) musiała w niedzielę podczas nabożeństwa przewozić lokomobilę z jednego folwarku na drugi przez miasto Lubartów. Administrator dóbr p. Rakowski zamieścił w *Słowie* ciekawe „wyjaśnienie“ w którym, stwierdzając fakt, dowodzi, że do przewożenia lokomobili zmusiła konieczna potrzeba i że krzyków przy tem nie było, bo na osiem koni doborowych, użytych do tej czynności, służba głośno wołać „wio“ nie potrzebowała, zresztą o tej porze nabożeństwa w kościele nie było. Pobożne *Słowo*, które jednak chętniej służy panom ziemskim, aniżeli Panu niebieskiemu, skwapliwie wydrukowało wyjaśnienie p. administratora, skarżącego się na złośliwość ludzką. Konkwentniejszy *Przeгляд katolicki* słusznie z tego powodu zaznacza, że przewiezenie lokomobili nie może być wytłomaczone nagłą potrzebą, usprawiedliwiającą zgwałcenie święta i że w owym czasie dzień, zaczynający się o 7 rano, miał zaledwie 9 godzin, więc odebranie ludziom, pracującym przez cały tydzień „paru godzin rannych“, jak dowodzi p. administrator, nie jest wcale bagatelą. Ciekawa rzecz, jak po tej admonicji i po nowej interpelacji *Gazety lubelskiej* wykrecać się będą arcy-zachowawcze i religijne *Słowo*?
J. Nieborski.

Przeгляд Społeczny.

Dobrzyń nad Wisłą. (Kor. „Głosu.“) Z Ameryki wciąż wracają ludzie z naszej okolicy, już nie wielu za morze pozostało. Narzekają na zastój w robotach. Ci którzy wrócili, wcale nie myślą na zawsze w kraju pozostać. Sądzą oni, że długo obecny stan martwoty nie potrwa w Ameryce. A skoro tylko dowiedzą się o puszczeniu w ruch fabryk, natychmiast z powrotem powędrują. Wrócili nawet dosyć zasobni, tłumacząc się tem, że za te pieniądze, które wydaliby tam na swe utrzymanie przez

czas bezrobocia, mogą swoich odwiedzić i podróż opłacić. Niektórzy mieli wcale nie złe zarobki, gdyż np. wójt gminy Chalin żałł się, że kasa pożyczkowa formalnie nie może wytrzymać konkurencji z pieniędzmi amerykańskimi. Kasa, mówił bierze 8%, a rodziny, którym z Ameryki nadsyłają pieniądze, wypożyczają bez żadnej trudności na 6%; zwracają tylko uwagę na to, czy pożyczający jest rzetelnym człowiekiem.—Z powodu śmierci dwojga dzieci, która nastąpiła podług zdania lekarzy wskutek cholery azyatyckiej w mieście, przez dni 19 zachowywano ścisłe środki ostrożności. Kosztowało to około 700 rubli. W powiecie suma ta wydała się zbyt wygórowaną, zawezwano więc magistrat do wytłomaczenia się.—Kasyer magistratu miejscowego miał bardzo nieprzyjemną sprawę o marki, które mu przez trzecie ręce odstąpił pewien żyd. Marki były używane lecz na pozór zdawały się zupełnie dobre. Żydek skoro przeczuł śledztwo, drapnął do Ameryki.—Miasto nasze posiadało kapitału około dwudziestukilku tysięcy rubli, tymczasem b. Bank polski przy końcu swego istnienia nie wysyłał kwitów (?) a obecnie Bank państwa z tych sum przyznał tylko 3000 rubli; o resztę prowadzi się obszerna urzędowa korespondencya. — Magistrat chciał podnieść placę nauczyciela od 200 do 300 rubli z tych właśnie sum, a rząd gubernialny sankcję swą wstrzymał, dopóki sprawa się nie wyjaśni. — Sklep spółkowy znacznie się przez 2 lata istnienia, powiększył i wciąż rozszerza działalność swą na wielkie utrapienie miejscowych żydków, którzy dzierżyli monopol handlu. Rzecz dziwna, handel ten uważają oni za swoją wyłączną własność. Gdy sklep sprządza jakiś świeży artykuł, przeklinają na czem świat stoi, że ich biedaków źli ludzie doprowadzają do nędzy. W lecie założony został prywatny sklep polski, bławatno-galanteryjny, bo tych towarów nie było w sklepie spółkowym. Ileż to było przekleństw, ile złorzeczeń z tego powodu! Znajomego i nieznanego zatrzymywano na ulicy i gwałtem chciano go przekonać, że żydom krzywda się dzieje. Gdy i to nie pomogło, puszczano w kurs przeróżne plotki.—W bliskości Dobrzynia w Olesznie stał młyn parowy; był on zupełnie w ostatnich czasach zapomniany. Niedawno nabył go hr. Miączyński z Wielonego, człowiek bardzo przedsiębiorczy z gruntu odrestaurował go i zawczasu w okolicznych miastach stara się o zakładanie składów z mąką. Jeżeli składy te będą w rękę chrześcijan, renoma młyna wiele na tem zyska, gdyż dzieci Izraela niezniósłoby tego, żeby jakiejś innej, gorszego gatunku mąki nie przymieszać choć odrobinę.
X-y.

Z CESARSTWA

Petersburg. (Kor. „Głosu.“) Dla ubogiej diatwy urządzono tutaj kosztem miasta niebywałych rozmiarów uroczystość „gwiazdkową“. Miała ona miejsce w wielkiej sali „dumy“, gdzie pośrodku wznosiła się olbrzymia „choinka“, oświetlona rżsiście elektrycznością, a pod nią stoly łakoci, zaś na stołach ogromne zapasy wszelkiej odzieży i książek. Cztery tysiące skąpo przyodzianych, białych i chudych dzieci w towarzystwie rodziców, zostało podzielonych na cztery oddziały, z których każdy bawił na sali 2 godziny. Przez ten czas przyjmowały one udział w różnorodnych zabawach lub słuchały muzyki. Rozdawaniem podarków zajęło się kilkadziesiąt kobiet z grona tutejszych nauczycielek szkół miejskich. Porządek był wzorowy; nie zaszło nie takiego, coby mogło świadczyć o najmniejszym choćby zamieszaniu w programie tego niezwykle widowiska lub o niezadowolaniu obu stron, czego w tak wielkiej masie biedaków można się było spodziewać. Słychać tylko było wybuchy szczerzej radości młodego pokolenia, manifestowane śmiechem i okrzykami. Ciekawy i wzruszający był widok, jak niektóre maleństwa jeszcze na sali odrzucały starą odzież i przebierały się w świeżą. Koszt tej uroczystości wyniósł około 1000 rubli. — Ograniczenie czasu pracy w dni niedzielne i świąteczne wśród tutejszych pracowników handlowych na nowo zostało podjęte przez Towarzystwo petersburskie wzajemnej pomocy subiektów. Obecnie handel w takie dni rozpoczyna się o godzinie 12 w południe, Towarzystwo zaś uważa za dostateczne, aby sklepy były otwierane od 2 do 6 wieczór i temu rygorowi powinny ulegć i sklepy spożywcze, które mogłyby handlować kolejno w swoim obrębie.—Dnia 27 grudnia v. s. odbyło się w sali resursy szlacheckiej pierwsze inauguracyjne posiedzenie V zjazdu lekarzy ruskich ku uczczeniu pamięci N. I. Pirogowa, na którym zgromadziło się przeszło tysiąc przedstawicieli medycyny z całego państwa oraz tłumy publiczności. Po wstępnych przemówieniach profesor F. F. Erisman miał odczyt p. t. „Wegetaryanizm

wobec nauki współczesnej,” w którym doszedł do takich konkluzji: 1) Dążenie do usunięcia z pokarmu mięsa pozbawione jest podstawy naukowej; 2) Absolutny wegetaryanizm jest stanowczo szkodliwy i 3) Wegetaryanizm warunkowy, wywołany współczuciem dla zwierząt rzeźnanych może zyskać sympatyę naszą jedynie ze względów etycznych. Wszakże i co do tego etyce prędkiej zadość się uczyni, jeżeli przede wszystkim będziemy stosowali wzniosłe zasady miłości i ludzkości nie względem zwierząt ale ludzi.
Vasco.

Z ZAGRANICY.

Kraków. (Kor. „Głosu“). Dużo sensacyi narobiła sprawa protestu kupców chrześcijańskich krakowskich przeciw bezprzykładowym nadużyciom, jakie się od lat wielu praktykują przy wyborach do izby handlowo-przemysłowej. — W Krakowie specjalnie istnieje banda agitatorów żydowskich, maczająca swe palce w kasie posła Rapaporta, (pan ten posłuje do parlamentu z izby handlowej) który wykupuje karty wyborcze w Krakowie i na prowincji dla przeprowadzenia do izby kandydatów „zafanych i kochających swego bogatego posła.“ Ciekawym jest cennik tej zgrai łotrzyków, polujących bezkarnie, dzięki wadliwej organizacji wyborczej, która nie jest tajną i dopuszcza głosowanie przez zastępców. Otóż w Krakowie płacono wyborcom po 4—10 zlr. za głos, na prowincji zaś ceny były umiarkowane nawet do tego stopnia, że za 20 centów można było uzyskać „bardzo szanoway głos.“ Są to fakty, niestety, autentyczne! — W Krakowie zmarł znany ginekolog, profesor uniwersytetu, doktor Maurycy Madurowicz.
Vox.

Lwów. (Kor. „Głosu.“) Dnia 10 stycznia zawtórowali w sejmie pp. marszałek ks. Sanguszko i namiestnik hr. Badeni prawie jednogłośnie, że wszystko jest w najlepszym porządku, że finanse prawie zupełnie uregulowane pozwalają już na pewne inwestycje, słowem, że mielibyśmy u siebie raj, gdyby nie kłęski elementarne i jeszcze elementarniejsza nędza. P. namiestnik obruszył się, z powodu „pogadaniek“ (?) o ucisku podatkowym, który zdaniem hr. B. istnieje w głowach fantastów: u nas nikt nie przykreca śruby podatkowej, a pewne nadużycia praktykować się muszą przy tak olbrzymiej maszynie, jaką jest administracja skarbowa w Galicyi! Duch, w którym p. Badeni kruszył kopie w obronie p. Mory-Korytowskiego ma być pono punktem zwrotnym w sposobie zatrzymywania naszej ludności podatkowej kapsułkami fiskalnemi. Z kolei oświadczył pan hrabia Badeni imieniem rządu, że zapomogi dla ludności, dotkniętej kłeskami, są *malum necessarium* — należy raczej zapobiegać nieszczęściu w porę. Bardzo to pięknie i mądrze powiedziano szkoda jeno że rząd, który p. Badeni reprezentował w sejmie, nie uwzględnił dotychczas tak ważnego i kardynalnego postulatu kraju, jakim jest regulacja rzek i potoków górskich. Tą drogą dałoby się może zapobiedz kłęskom powodzi, to też sejm zdziwił się mocno, słysząc podobną niepolityczną sofisteryę z ust samego namiestnika. Marszałek zapowiedział przedłożenie: o ustawie łowieckiej, budowlanej dla wsi i zmianę ordynacyi wyborczej dla większych miast. Namiestnik wspomniął o uchwaleniu przez nowego ministra oświaty umudurowania młodzieży szkolnej, o potrzebie policyi państwowej w Przemyślu i utworzeniu komisji rządowej dla wykupna ciężarów gruntowych. Mowę swą zakończył zapewnieniem że jedynie „potrzeba serca i rozumu“ nakazuje mu zdawać sprawę przed sejmem ze swych czynności, bo w kontrakcie rządowym tego niema, takiego nakazu brak. Z kolei posypały się zażalenia poselskie i petycje w sprawie zapomóg i ucisku podatkowego.—Prezesem Koła sejmowego wybrany zostanie, w miejsce ministra Jaworskiego, prawdopodobnie poseł Gorayski. — Spodziewają się w sferach pedagogicznych, że sejm nasz zajmie się w czasie swej króciutkiej kampanii także sprawą nauczycielstwa ludowego. Położenie tych białych murzynów jest w istocie okropne—nie dziw też, że brak ludowych nauczycieli staje się z każdym rokiem dotkliwszym. W Galicyi do 80,000 dzieci nie uczęszcza do szkół dla tego prostego powodu, że niema komu uczyć. Wiadomo też, że wielu nauczycieli wybiera się za morze, szukając na emigracyi lepszej doli.—Krakowska sala sądowa była ubiegłego tygodnia miejscem ciekawego procesu przeciw 158 włościanom z pow. Bocheńskiego, których prokurator państwa oskarżyła o stawianie oporu zarządzeniom władz sanitarnych w czasie cholery. Sprawa ta rzucała sporo światła na obyczajowość naszego włościaństwa. Chłopi bronili się

em, iż, wedle ich mniemania i rozpuszczonych wieści komiara przybyła celem zniszczenia zbiorów, palenia ich karbolem, oraz zabrania wielu sprzętów domowych. Na odnośne zapytanie sędziego—oskarżeni odpowiedzieli, iż dla tego *baby wysunęli na front*, gdyż byli przekonani, że żandarmi kobietom krzywdy nie zrobią. Trybunał zasądził kilkudziesięciu włościan na więzienie od 3 tygodni do 4 miesięcy.

Nullus.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Stan rzeczy we Włoszech zaostroża się coraz bardziej. W Sycylii wprowadzono na razie stłumiono rozruchy i aresztowano przywódców zaburzeń ale wielu zaocznie skazanych lub obawiających się kary zbiegło w góry i potworzyło bandy. W dawnym ksiąstewku Massa i Carrara wybuchł bunt poważny. Robotnicy z łomów marmuru, powołani do wojska, zdobyli koszary w Carrarze i następnie z bronią w ręku wyruszyli do Massy. Pomiędzy wojskiem i powstańcami były krwawe potyczki. Pokonani powstańcy tworzą w górach liczne bandy i walczą z wysłanymi przeciw nim oddziałami wojska. W Toskanii i Romanii rozruchy stają się coraz groźniejsze. W Livorno tłum przez kilka godzin był panem miasta. Istnieje powszechne przekonanie, że duchowieństwo umyślnie ruch podnieca. Z drugiej strony socjaliści francuscy pomagają powstańcom włoskim. Crispi utrzymuje, że gruntowna reforma całego systemu administracyjnego jest konieczną. Jeżeli izba projekt reformy odrzuci, rząd rozwiąże parlament i zawiesi konstytucję, następnie zaś dekretem królewskim reformę przeprowadzi.

W parlamencie niemieckim wre walka o tytoni, a raczej podatek od tytoniu. Nowy sekretarz skarbu rzeszy Posadowski bronił zręcznie projektu rządowego, dowodząc, że gdyby usłuchano życzeń wolnomyślnych w sprawie zniesienia ceł zbożowych, cła od nafty i podatku od artykułów żywności—skarbu straciłby 269 milionów marek, których żaden podatek dochodowy dać mu nie może. Rząd na razie odniósł zwycięstwo o tyle przynajmniej, że projekt, przeciw któremu głosiła koalicja centrum, antysemitów, wolnomyślnych i socjalistów odesłano do komisji. W komisji zapewne ulegnie projekt zmianie, bo konserwatyści żądają wprowadzenia pewnych poprawek. Rzecz ciekawa, że przy obradach pokłócili się między sobą różni dygnitarze, mianowicie Miquel obraził się na Posadowskiego, dopatrując w jego mowie krytyki zamierzonej reformy finansowej. Podobno konserwatyści zgadzają się na traktat z Rosją ale tylko sposobem próby na jeden rok. Ponieważ i rząd ruski nie chce przyjąć zobowiązań na długi termin, być może, że na tej drodze nastąpi porozumienie. Bez poparcia konserwatystów zatwierdzenie traktatu bardzo jest wątpliwem.

W Nowem Mieście na Szląsku górnym odbywały się wybory posła do parlamentu. Przeciw kandydatowi centrum Delochowi wystąpił kandydat katolicko-polski Strzoda i uzyskał prawie równą liczbę głosów. Nastąpi wybór powtórny, w którym zdecydują głosy demokratów socjalnych.

W Pradze odbywa się przy zamkniętych drzwiach proces przeciwko 77 członkom Omladiny. Oskarżeni zachowują się zuchwale. Policja przedsięwzięła rozmaite środki ostrożności, ażeby nie dopuścić do zaburzeń w mieście.

Znany patriota węgierski Ludwik Kossuth wskutek influenzy osłępił zupełnie.

Kilkunastu deputowanych izby francuskiej podało do Carnota prośbę o złagodzenie wyroku dla Vaillanta, skazanego przez sąd na karę śmierci.

Serbię grozi nowe przesilenie ministeryalne, stronnictwo radykalne bowiem rozpadło się na dwa odłamy. Król Aleksander odbywa narady z wybitnymi ludźmi, należącymi do rozmaitych partii z powodu krytycznego położenia politycznego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Projekty i rozporządzenia rządowe. Wkrótce wszy stkie koleje żelazne w Królestwie Polskiem mają przejść na własność skarbu. Wykupienie drogi iwanogrodzko-dąbrowskiej, nadwiślańskiej i łódzkiej nastąpić ma nawet w bliskiej przyszłości.—Departament heroldyi rządzącego senatu zatwierdził i wniósł do ksiąg rodowodowych gub. warszawskiej po dzień 1 stycznia r. b. szlachty osób 1033, z tych 683 osoby, wylegitymowane przed wydaniem prawa z r. 1836 i 350 osób, które uzyskały godność szlachecką po wydaniu tego prawa.—Według urzędowego sprawozdania na zaopatrzenie w r. 1892 ludności, dotkniętej nieurodzajem, w 23 guberniach i w jednym obwodzie wydano gotowizną rs. 16,919,873 i zbożem 12,759,261 pudów. Nadto wydano sposobem pożyczki zboża 30,827,127 pudy. Na powiększenie kapitału zaopatrzenia ludności wydano ze skarbu 20 mil. rubli, z których pozostanie nieużytych 8 milionów.—Ogólna suma długów skarbu państwa w d. 1 (13) stycznia r. 1892, jak wykazuje sprawozdanie urzędowe, wynosiła w walucie kredytowej rs. 5,516,698,378 kop. 12. W ciągu r. 1892 na zasadzie wykazu kontroli państwa, wytworzył się nowy dług w ilości, w walucie kredytowej rs. 203,428,812 kop. 32, umorzono zaś rs. 35,927,872 kop. 44. W d. 1 (13) stycznia r. 1893 pozostawało długów państwowych nieumorzonych razem rs. 5,684,194,313 w walucie kredytowej.

Kronika społeczna. Kuchnia bezpłatna otwarta została przez Towarzystwo dobroczynności przy ul. Waliców. Kuchnia ta wydawać ma w miesiącach zimowych po 100 obiadów dziennie.—Z inicjatywy samych mieszkańców przedsiębiorca zamierza z wiosną roku bież. wybudować na Nowej Pradze dom z obszerną salą na zabawy, tańce i widowiska ludowe.—W ciągu zeszłego roku w obrębie Królestwa Polskiego odebrano kłusownikom następujące ilości broni palnej: w gub. warszawskiej odebrano 352 sztuki, łomżyńskiej 185, suwalskiej 379, płockiej 227, kaliskiej 651, piotrkowskiej 540, radomskiej 385, kieleckiej 328 i w siedleckiej 328, razem 3,375 sztuk. W wykazie tym pominięto gub. lubelską, skąd danych nie dostarczono (?) — Wszystkich wójtów gmin w obrębie gub. warszawskiej jest 155, a mianowicie: 17 szlachty, 18 mieszcan i 120 włościan, 42 wójtów pełni swoje obowiązki od 20 do 30 lat. Pisarzy gminnych jest 178, a mianowicie: 32 szlachty, 181 mieszcan i 15 włościan.—W instytucie gospod. wiejskiego i leśnictwa w Nowej-Aleksandryi organizuje się orkiestra studencka.—Rada uniwersytetu warszawskiego zatwierdziła w stopniu pomocnika aptekarskiego panią Augustę Pasierbską, która złożyła egzamin „cum eximia laude”. Jestto więc pierwsza kobieta, która uzyskała stopień aptekarski po odbytej praktyce.—Cholera w Płocku zupełnie wygasła, czasowy szpital dla cholerycznych został zamknięty.—Baron Ikskul, pod Rewlem, założył nową sektę religijną; która w obrzędach zbliża się do sekty hernhutów.

Kronika ekonomiczna. Na Czystem kolonista Czajkowski zamierza z wiosną r. b. założyć próbną plantację najczęściej poszukiwanych roślin leczniczych.—Nasiona roślin Cz. częścią zebrał z gruntów, pól i lasów okolicznych, częścią zaś sprowadza z Erfurtu.—Sport cyklowy zyska nowe urozaicenie. Niejaki p. K. dotychczasowy rower skonstruował w ten sposób, iż posuwa się on automatycznie siłą ciężaru jeźdźca. Wynalazek, któremu znawcy zapewniają wielką przyszłość, zaraz po uzyskaniu patentu ma być na wielką skalę eksploatowany.—W Zgierzu zgorzała wielka przędzalnia W. F. Zacherta z 10000 wrzecion, 250 robotników pozostało bez zajęcia.—Drogi żelazne Południowo-Zachodnie, jak również niektóre w gub. Królestwa Polskiego, zamierzają zaprowadzić na liniach swych specjalne wagony dla przewozu bydła, mięsa i produktów mlecznych. Oprócz tego na większych stacjach będą zbudowane obszerne bydłobójnie.—Komisya kolonizacyjna nabyła w ostatnich czasach następujące majątki: Klucz pogrzybowski z folwarkami Starym i Nowym Rąbczynem, Starem i Nowem Jelitowem, Sulistawcem i Walentyńno wem, oraz majątek Przybysławice w pow. odolanowskim, ogółem 11,100 morgów magdeburskich, za 1,670,000 marek (własność p. Niepomucena Niemojowskiego), majątek Radajewice z Przybysławicem, w pow. inowrocławskim 3,520 morgów, własność b. landrata hr. Solmsa, za 330,000 marek, Majątek Strydzewo w pow. pleszewskim, 1,140 morgów, za 190,000 marek, od Niemca Henryka Buttla z Wykowa.—Minister wojny angielski zawiadomił nie dawno izbę gmin, że wszyscy robotnicy zatrudnieni w ar-

senalach, magazynach, warsztatach i t. d. podległych ministeryum wojny, od Nowego Roku liczbę godzin pracy mają ograniczoną do ośmiu, bez zmniejszenia zarobku.

Oświata i szkoły. W r. 1894 powstaje 16 nowych szkół i szkółek rolniczo-gospodarskich w różnych miejscowościach państwa, a głównie w kraju południowo-zachodnim.—Podobno zostało postanowione ostatecznie otwarcie w Petersburgu instytutu medycznego dla kobiet. Instytut otwarty będzie przy jednym ze szpitali miejskich. Nauka ma trwać lat sześć. Kandydatki obowiązane będą składać egzamin z kursu gimnazjów męskich. Na kursa nie będą przyjmowane kandydatki, mające mniej niż lat 25 skończonych.—Z końcem ubiegłego roku było w Austrii 258 szkół średnich, z liczby tej wypada 179 na gimnazya klasyczne z 57,306 uczniami, a 79 na realne z 24,077 uczniami.

Z literatury i sztuki. Wystawa dzieł, nadesłanych na konkurs architektoniczny, otwartą została d. 15-go b. m. w głównym salonie Towarzystwa sztuk pięknych. D. 18-go było posiedzenie delegacji konkursowej, zaś d. 22-go b. m. zebranie członków „jury”.—Pod tytułem „Putiewyje oczerki” wyszły w Moskwie w tłumaczeniu p. W. Ławrowa pisma H. Sienkiewicza, zawierające listy z Afryki, Wenecyi, Rzymu i Nervi.—Powieść J. I. Kraszewskiego p. t. „Hrabia Brüh 1” drukuje w przekładzie Waleryana Exnera „Deutsche Zeitung”.—W styczniu r. b. przypada jubileusz 50-letni istnienia sceny dramatycznej w Łodzi, która w roku 1844 miała zaledwie 20 kilka tysięcy ludności. Na widowisku jubileuszowym mają być odegrane: „Śluby panieńskie” Fredry i „Okrężne” Korzeniowskiego.—Za ubiegły sezon koncertowy w Londynie Paderewski zebrał 20000 funtów szterlingów, nie licząc wielu drogocennych upominków.

Z sądu. Wielki proces przeciw 118 włościanom z Poznachowic Dolnych, w Galiicyi, rozpoczął się w Krakowie. Oskarżeni zostali o obrazę majestatu o gwałt publiczny i wywołanie zbiegowisk, popełnione z powodu zarządzeń sanitarnych wydawanych w czasie cholery. Głównym oskarżonym jest włościanin Jan Lampka

Wiadomości osobiste Urząd lekarski m. Petersburga ogłosił, że Najwyżej nadano Tomaszowi Ważyńskiemu tytuł pierwszego lekarza dentystry w Rosyi.—Uniwersytet jurjewski przyznał stopień doktora medycyny Maryanowi Regulskiemu, za obronę publiczną rozprawy p. t. „Beitrag zur Statistik und Klinik der Lippencarcinome.” Oponentami z urzędu byli: Dr. J. Blumberg, prof. dr. Barfurth i prof. dr. W. Koch.

Rozmaitości. Z Petersburga wyruszyła wyprawa celem zbadania rzeki Amuru, na koszt wyprawy, która trwać będzie 2 lata, wyznaczono ze strony ministeryum komunikacji 70000 rs.—Ze sprawozdania głównego obserwatorium fizycznego w Petersburgu dowiadujemy się, iż w r. 1893 funkcjonowało w Rosyi 557 stacji meteorologicznych, liczba zaś stacji pluwiometrycznych wzrosła do 820, punktów obserwujących burze do 1030. Stacji obserwujących spadek śniegu jest 1360. Ostrzeżeń o burzach na morzu Bałtyckiem i Czarnem zakomunikowano przeszło 300, z tych 80 proc. trafnych. Ze 150 ostrzeżeń pogody sprawdziło się do 81 proc. Z 278 przepowiedni o zamieciach śnieżnych sprawdziło się 79 proc. W r. b. obserwatorium główne ogłaszać będzie przepowiednie zmian poziomu wody w rzekach.—W Chicago, w miejsce latarników, zapalających lampy gazowe, zastosowane zostało zapalenie centralne przez aparat nowo wynaleziony, który skombinowanym działaniem ciśnienia gazu i baterji galwanicznej zapala wszystkie lampy jednocześnie

Zmarli. W Warszawie, Jerzy Aleksandrowicz, b. profesor uniwersytetu warszawskiego, przyrodnik, założyciel ogrodu pomologicznego i szkoły ogrodniczej, której był kierownikiem przez lat 7, prezes Towarzystwa ogrodniczego, Dyrektor Warsz. Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, członek Kom. redakcyjnego „Wszeczeństwa”, „Pam. fizyograficznego” etc. w wieku lat 75.—W Krakowie, Maurycy Madrowicz, profesor miejscowego uniwersytetu, uczonej ginekolog.—W Paryżu, wiliam Henryk Waddington, były inister rancuski, i ambasador. w Londynie, pracował nad archeologią, ur. w r. 1826 z rodziców angielskich.